

FRYDERYK SCHILLER

Wiersze

Tower Press 2000

Copyright by Tower Press, Gdańsk 2000

REZYGNACJA

I jam w Arkadii począł życie swoje,
I mnie natura przez uścisk miłosny
Przysięgła w kolebce czystych rozkosz zdroje;
I jam w Arkadii począł życie swoje,
A przeciem łzami spłacił chwile wiosny!

Raz się tylko życie wdziękiem kwiatu stroi,
Mój kwiat już wionął, już mię nie okrasi,
Bóg milczących grobów – płaczcie, bracia moi!
Bóg milczących grobów przy mym boku stoi,
Dnia pochodnię gasi!

Na twym czarnym progu, otoczony ciemnotą,
Staję przed tobą, straszliwa wieczności!
Odbierz zapis szczęścia, odbierz pieczęć złotą
Nietkniętą; jak widzisz, powracam z ochotą,
Nie znam szczęśliwości!

Przed tron twój niosę swoje ciężkie żale,
Bądź moim sędzią, niezgięta królowo!
Na owej gwieździe mówią ku twej chwale,
Że, niezachwianą mając w ręku szalę,
Tu płacisz wiernie i karzesz surowo.

Tu na zbrodniarza padnie błada trwoga,
Cnota pozna radość niepojętą zmysły;
Tu ciemne wyroki zjaśni gwiazda błoga,
Do tajników serca rozwinie się droga,
Tu z cierpiącym będzie obrachunek ścisły.

Tutaj pielgrzym weźmie rozbrat ze strapieniem,
Wygnaniec znajdzie przytułek ojczysty.
Piękna córka bogów (prawda jej imieniem),
Której wielu nie zna i unika z drzeniem,
Lot życia mojego powściągnęła strzelisty.

„W drugim cię życiu nie minie zapłata,
Daj mi swą młodość, daj wszystkie jej wdzięki,
Oto masz kartę za swe młode lata.”
Przyjąłem zapis do drugiego świata,
I dałem młodość na ten znak poręki.

„Daj mi swą Laurę, ten klejnot niewieści,
Którąś pokochał z najczystszy zapałem:
Za grobem stokroć spłacę twe boleści.”
Jam z serca wydarł ten klejnot niewieści,
Ciężkom zapłakał i z rozpaczą dałem!

„Zapis w kraj zmarłych? o złudo haniebna!”
Wykrzyk szyderczy odezwał się wszędzie:
„Kłamię cię zwiodła ciemnicą służebna,
Przez nich wspierana, bo dla nich potrzebna,
Przyjdzie wypłata, ciebie już nie będzie.”

Jaszczurcza rzesza syczała zuchwale:
„Przedawnień mary mogą trwożyć ciebie?
Cóż są twe bogi głoszone wspaniale?
Te zbawcy świata, wymyślone w szale
Ludzkiem dowcipem ku ludzkiej potrzebie?

I cóż jest przyszłość grobami zamknięta?
Co wieczność owa wielkiego znaczenia?
Oto marna tylko nicości osłona,
Straszycie z własnego wywabione łona,
W kłętym zwierciadle odbite sumienia.

Żywych kształtów obraz w kłamliwym sposobie;
Mumia czasu balsamem nadziei –
Ku ciemnych przybytków znikomej ozdobie –
Przemysłnie w milczącym przechowana grobie;
Stąd twe szaleństwo nieśmiertelność klei ?

Za nadzieje, którym zaprzecza zniszczenie,
Lekce oddałeś pewne dobro swoje?
Sześćdziesiąt wieków znała śmierć milczenie,
Któryż trup, złamawszy grobowe sklepienie,
Wydał, co wieczne zamknęły podwoje?

Czas ulatał chyżo do twojego brzegu,
Za nim śmierć blada, niesyta połowu,
Kwitnącą naturę w trup zmieniała w biegu;
Żaden trup nie wstał z wiecznego noclegu,
Jam mocną wiarę dał boskiemu słowu.

Jam ci z mych rozkosz dał krwawą ofiarę,
Teraz u stopni stoję twego tronu;
Mężnie spełniłem gorzką szyderstw czarę,
W tobie jedynie miał niezłomną wiarę,
Nagród królowo! żądam cierpień plonu.”

„Równe mym dzieciom wymierzam kochanie –
Głos genjusza odpowiedział skrycie –
Dwa kwiaty tylko, słuchajcie, ziemianie!
Rosną dla tego, kto ma baczość na nie,
Jeden nadzieja, a drugi użycie.

Kto jeden uszczknął, drugiego się zrzeka:
Tych kwiatów nigdy czas razem nie splata;
Przykłady wieków mówią do człowieka:

Zawsze od wiary użycie ucieka;
W światowych dziejach mieszka sędzia świata!

W twojej nadziei miałeś plon zasługi,
W statecznej wierze i szczęścia stateczność;
Mógł cię nauczyć mędrców szereg długi,
Co chwila wzięła, nie wróci czas drugi,
Nie wróci wieczność!”

1784

Przełożył
Jan Nepomucen Kamiński

DO RADOŚCI

O radości, iskro bogów,
Elizejskich błoń dziewico,
Wchodzimy do twych świętych progów
Z pełną ogniów twych źrenicą.
Co czas rozprzął i zwyczaję,
Czarodziejstwo twoje sprzęga;
Braćmi cały świat się staje,
Kędy błogi lot twój sięga.

Chór

Obramieńcie się, miliony!
Pocałunek całej ziemi!
Bracia, za gwiazdami temi
Ojciec mieszka uwielbiony.

Kto otrzymał z losu ręki
Skarb najdroższy, przyjaciela,
Kto anioła posiadał wdzięki,
Z nami radość niech podziela!
Choćby tylko jedno łono,
Jak świat wielki, nazwał swoim!
Kto nie zdołał, nasze grono
Niechaj łez pożegna zdrojem.

Chór

Kto zamieszkał sfer ogromy,
Niech współczuciu hołdy głosi,
Ono w gwiazdy nas unosi,
Gdzie króluje Nieznajomy.

U przyrody wisząc łona
Rozkosz piją wszystkie twory;
Złość i dobroć upojona
W jej kwieciste pędzą tory.
Pocałunek dała z winem,
W klęskach wierność przyjaciela,
I w rozkoszy cherubinem
Czerw radosny w niebo strzela.

Chór

Upadacie, miliony?
Świecie, k' Stwórcy rwiesz się lotem?
Szukaj go za gwiazd namiotem!
Tam być muszą jego trony.

Radość dźwignią jest i duchem
W przyrodzenia wiecznym szyku,
Radość toczy koła ruchem
W wielkim świata godzinniku.
Wywołuje z ziarna kwiaty,
W głębiach nieba słońca budzi,
Po przestrzeniach pędzi światy
Niedościgłe szklami ludzi.

Chór

Jak przez nieba pyszne koło
Pędzą różne światów wiry,
Jak do zwycięstw bohaterzy,
Bracia! drogą w lot wysoko.

Z płomiennego prawd ogniska
Rzuca mędrcom uśmiech błogi
I na strome cnót urwiska
Cierpiącego wiedzie drogi.
Na słonecznej górze wiary
Święta jej chorągiew wionie,
Przez rozpekłych grobów szpary
Widać ją w aniołów gronie.

Chór

Na świat lepszy cierpcie, młodzi!
Znoście trudy, miliony!
Tam nad gwiazdy wyniesiony
Wielki Bóg was wynagrodzi.

Czym ci się odwdzięczyć, bóstwo?
Pięknie jest się równać z bogi.
Pójdź więc, smutku i ubóstwo,
Z wesołymi dziel czas błogi!
Zawiść, zemsta niech przepadną,
Wrogom mir i przebaczenie!
Niech się łą nie dręczą żadną,
Z zgrzytot wytchnie ich sumienie.

Chór

Bracia, księgę win zedrzyjcie!
Z całym się jednajcie światem!
W górze, za gwiazd majestatem
Bóg osądzi, jak sądzicie.

Radość perli się w kryształach;
Ze krwią złotą winogrona
Litość piją kanibale,
Bohaterstwo pierś zwątpiona –

Bracia, duszą w lot do Pana,
Kiedy krąży nektar winny,
Niechaj w niebo tryska piana:
Cześć ci, duchu dobroczynny!

Chór

Ty, któremu grzmią chórami
Gwiazdy i serafów pienia,
Przyjmij toast uwielbienia,
Dobry Boże za gwiazdami!

W klęsk brzemieniu umysł tęgi,
Pomoc we łzach niewinnemu,
Wiekuiście dla przysięgi,
Druh, czy wróg, to prawda jemu,
Godność przed mocarzów trony –
Choćby łożyć życie, mienie –
Dla zasługi wić korony,
Niech podłości zatracenie!

Chór

Silniej koło święte sprzęgaj!
I przy wina tego złocie
Wierność wieczną ślubom, cnocie
Przed gwiazd sędzią zaprzysięgaj!

1785

Przełożył
Karol Brzozowski

BOGOWIE GRECJI

Władając światem, cali w piękna blasku,
Wiedliście ludy żyjące bez waśni,
Szczęsne, za sobą na radości pasku,
Cudne istoty, wylonione z baśni.
Wasz czar miał w sobie promienności więcej,
Jak gdyby wiewem owiany iluzji!
Wonczas wieńczono tve świątynie wieńcem,
O Wenus z Amatusji!

Wonczas urocza zmyślenia powłoka
Oblekła prawdę, niczym wdzięczne ciało –
Pełnia z twórczości ku nam szła wysoka,
Nie to się wtedy co dziś odczuwało.
Naturze, by ją przytulić do łona,
Nadano wyższe, szlachetniejsze miano.
Ludzkość boskością była urzeczona,
Więc bóstwa ślad widziano.

Gdzie dziś, jak mędracy nasi mówią o tym,
Kula bezdusznie obraca się lśniąca,
Kierował Helios swym rydwanem złotym,
Potężny kuli owej wielkorządca.
Świat zaludniały piękne oready,
Jedna driada w drzewie zamieszkała,
Tryskała z urn, trzymanyh przez najady,
Strumieni piana biała.

Ten laur o pomoc błagał. Tantalowa
Córa zakłeta milczy w tym kamieniu,
Żal Syryngs dźwięczy w trzcinnie tej od nowa,
Ból Filomeli – w tego drzewa cieniu.
W ten zdrój spłynęła łza Demeter szczerza,
Nad losem Persefony ją przelała,
Z owego wzgórze na próżno Cerera
Przyjaciela wzywała.

Wonczas do plemion Deukaliona z nieba
Szlachetni zeszli i kształtni niebianie.
Gdy córę Pyrry ująć było trzeba,
Z pasterskim kijem syn Latony stanie.
Ludzi i bogów połączył więzami
Sprawca miłości – Eros, żeby szczerze
Ziemianie z herosami, z niebianami,
Hołd składali Wenerze.

Chmurną powagę, smutek wyrzeczenia
Wygnano z waszej wesołej gromady.
Serca w was biły radością istnienia,

Cieszył was każdy szczęśliwiec z Hellady.
Najświętsze było piękno na tej ziemi,
Szczęścia nie wstydząc się, Bóg radość witał.
Kamena, którą świeży wdzięk rumieni,
Rządziła lub Charyta.

Niczym pałace śmiały się świątynie
I bohaterów gody uświetniały
Uczty. Rydwany na pięknym festynie
Pędząc do mety dudniły i grzmiały.
Uduchowione tańce zwiewnym rytmem
Ołtarz pod fletni okalały tony,
Skoń wam zdobiły laury starożytne,
Wasze włosy – korony.

E v o e śmieszków, którzy potrzęsali
Tyrсами, panter wspaniałe zaprzęgi
Wieściły sprawcę boskich bachanalii
I satyr – opój zataczał się tęgi.
Z nim faun kuśtykał, szalone Menady,
Chwalące wino, tańczą w barwnych wieńcach,
Gospodarz smagły do sutej biesiady
I puchara zachęcał.

Żaden kościotrup, gdy człowiek umierał,
W domu go nie odwiedzał, lecz łagodnie
Całus z warg resztę życia mu zabierał,
Geniusz opuszczał gasnącą pochodnię.
Nawet Hadesu dźwigał wagę srogą
Wnuk śmiertelniczki, co z urody słynie,
Skargą Orfeja pokrewnego bogom
Wzruszały się Erynie.

W gajach Elizjum radość przeminioną
Odzyskiwały cienie zwiewne, błogie,
Małżonkom miłość wierną przywrócono,
Woźnica odzyskiwał dawną drogę.
Linusa gra pieśniami brzmi wesela,
Na pierś Alcesty Admet padł omdlały,
Orestes rozpoznaje przyjaciela,
Filoktet – swoje strzały.

Nagrody zapaśnika pokrzepiały,
Gdy szedł, cnotliwy, pracowitą drogą,
I wykonawcy czynów pełnych chwały
Wstąpili w szereg święty, równi bogom.
Przed rzeszą śmiazków, co śmierć pokonała,
Bóstw się chyliło wtedy co niemiara;
Żeglarzom drogę morską oświetlała
Z Olimpu bliźniąt para.

Gdzie jesteś, piękny świecie? Wracaj, wskrześnij,
Czasie rozkwitu natury zamierzchłej!
Tylko w krainie wieszczek, złud i pieśni
Twe utrwalone ślady dziś nie pierzchły!
Smuci się pole zimniejsze od głazu,
Bóstwo nie zjawia się choćby na mgnienie.
Z pełnego życia, ciepłego obrazu
Zostały tylko cienie.

Dziś już przekwitły wszystkie owe kwiaty,
Rozmiótł je północnego wiatru powiew,
Iżby jeden był ze wszech miar bogaty,
Musieli zginąć antyczni bogowie.
Szukam cię w łuku gwiezdny, o Selene!
Znikłaś podobna niewidzialnym duchom.
Darmo skroś fale wołam, gaje senne,
Ach, odbrzmiewają głucho!

Ślepa na radość, którą tak szafuje,
Nie zachwycona własną wspaniałością,
Nie widząc ducha, który nią kieruje,
I nieszczęśliwa moją szczęśliwością,
Na hołd pieśniarski i niema, i głucha,
Niczym wahadło zegarowe pusta,
Jedynie praw ciężkości wiernie słucha
Natura próżna bóstwa.

By się odrodzić jutro po swym zgonie,
Rychło dla siebie dziś ryje mogiły –
I na odwiecznym niebiańskim wrzecionie
Planety samoistnie zakrzyły.
I pozbawionym zajęć, zbędnym bogom
Została tylko poetów dziedzina,
Bo wieść już świata na pasku nie mogą –
Sam w przestrzeni się trzyma.

Bogowie powrócili do domostwa,
Biorąc ze sobą życia wzniosłość całą.
Ni kolor po nich, ni dźwięk nie pozostał,
Nam tylko słowo bezduszne zostało.
Są poza czasem, lecz ich śmierć nie skreśli,
Bo na Pindosu królują wyżynie:
Co nieśmiertelne, wiecznie żyje w pieśni,
W życiu niechybnie ginie.

1795

Przełożył
Włodzimierz Słobodnik

PEGAZ W JARZMIE

Na główny jarmark – może do Dąbrowy,
Gdzie zawsze kupiec znajdzie się gotowy,
I na wszystko pokup łatwy –
Wyprowadził na sprzedaż poeta zgłodniały
Swoj skarb, swój dobytek cały:
Skrzydlatego wierzchowca helikońskiej dziatwy.

Wesoło zarżał rumak Apollina
I w pysznej staję paradzie:
Łeb wznosi w górę, zżyma się i wspina,
To sztuczne w miejscu wyprawia obroty,
To lansadę po lansadzie;
Tłum jarmarkowy staję zdumiony dokoła,
Wszyscy wynoszą rumaka przymioty,
I każdy woła:
„Co za ślachtetne zwierzę! Jak piękna uroda!
Jaki kształt, jaka postać! Wielka tylko szkoda,
Że tę wysmukłość, tę budowę gładką
Szpeci brzydkich skrzydeł dwoje;
Ta rasa wprawdzie jest rzadką,
Ale któż zechce, życie narażając swoje,
Po powietrzu wojażować?”
Tak każdy z widzów zdanie swe otwiera,
Nikt nie chce kupna próbować.
Nareszcie jakiś wieśniak ochoty nabiera:
„Skrzydła – rzecze – nie mogą do niczego służyć,
Lecz te się dadzą obciąć lub skępować,
Tak konia zawsze można do pociągu użyć.
Sto złotych wreszcie dam ci, przyjacielu!”
Nasz poeta, któremu los swych darów skąpił,
A rumak rzadko dał się powodować,
Nie tracąc w targu słów wielu
Żywo do zgody przystąpił.
Dłoń o dłoń uderzają. Grześ pieniądze liczy
I wraca spiesznie, kontent ze zdobyczy.
Wnet rączego dzianeta do wozu próbuje,
Lecz ten, za ledwie nigdy mu nie znany
Ciężar u boków swych czuje,
Ślachtetnym gniewem zagrzany,
Puszcza się zwykłym żądy swojej lotem
I w niepowściągniętym biegu
Wywraca wóz i Grzesia na przepaści brzegu;
„Nic to! – rzekł Grzesio. – Dobrze wiedzieć o tem.
On pewnie, jak się urodził,
W prostej terlidze nie chodził.
Już ja mu wozu powierzyć nie mogę.
Lecz jutro z panem najmuję się w drogę,
Dam go więc do biczownika;

Tam się do woli wybryka,
I dwa konie mi oszczędzi.
Narów opuści go z laty.”
Z początku szło niezgorzej. Zawodnik skrzydlaty
Ożywia towarzyszków, kocz jak strzała pędzi.
Lecz cóż się dzieje? Z wzrokiem wzniesionym w błękity
Niezwyczajnie twardej ziemi swymi bić kopyty,
Już się nie trzyma bezpiecznych kół śladem,
Zażegniony popędem wyższej swej natury,
Leci przez bagna, pola, krzaki, góry...
Wnet równym szaleńcem porwany,
Cały zaprzęg za jego puszcza się przykładem:
Ni wołanie pomaga, ni ostre wędzidła,
Pędzą, jak gdyby wszystkie miały skrzydła –
Aż wreszcie powóz w połowie strzaskany,
Cudownie wszystkim zachowując życie,
Na stromej góry zatrzymał się szczycie.

„A to czartowska sprawa z tą gadziną! –
Rzekł Grześ do siebie z zamyśloną miną. –
Jak widzę, w dobrym sposobie
Nic z nim nie zrobię.
Obaczmy, może ten latawiec dziki
Przy ciężkiej pracy, a chudym obroku
Porzuci swoje wybryki.”
Wnet Grześ do próby się bierze,
Ledwie trzy dni minęło, już ślachetne zwierzę
Poczuło skutki swojego wyroku,
Cień tylko został z ulubieńca Feba.
„Mam, mam – Grześ woła – tego mi potrzeba.
Żywo do pługa wprząćcie go pospołem
Z najsilniejszym moim wołem.”
Ledwie co wyrzekł – już z najtęższym bykiem
Staje polotny dzianet w jarzmie zapaśnikiem,
Zżyma się pełen gniewu, reszty sił dobywa,
Nateża wszystkie nerwy, do lotu się zrywa.
Na próżno. Sąsiad z wolna i z namysłem kroczy,
Oswojony z jarzmem, z pługiem,
Na włos z bruzdy nie wyboczy,
I boski rumak musi się cierpliwie
Stosować do flegmatyka...
Aż w końcu, gdy zwałona nateżeniem długiem
Wszystka z członów siła znika,
Kochanek Apollina, znękany straszliwie,
Pada na ziemię i w prochu się wije –
Ledwo dyszy, ledwo żyje.

„Przekłęte zwierzę! – Grześ w złości zawoła,
A złoścąc się kijem wali –
Wszelka więc z tobą daremna mozoła?
Nie przydasz się na nic zgoła?
A to mi czarci to kupno nadali.”

Gdy tak Grześ jeszcze w uniesieniu srogiem
To klnie na czym świat stoi, to smaga batogiem,
To żale swoje rozwodzi:
Przez łąki, pola, drożyną pobliską
Na to komicznie smutne widowisko
Wesoło młodzian nadchodzi:
Lutnia przy boku; spod lekkiej ręki
Słodkie wymyka się brzmienie,
Wietrzyk niebiańskie unosi dźwięki,
A jasnych włosów spuszczone pierścienie
Ozdobna złota obejmuje wstęga.
„Przyjacielu, co znaczy ta praca ucieszna? –
Odzywa się do wieśniaka –
Któż w świecie wołu i ptaka
Pospołu w jarzmo zaprzęga?
Sam przyznaj, że to rzecz śmieszna!
Gdybyś mi swego konia na chwilę powierzył?
Rad bym siły moje zmierzył.
Uważaj – gdy mi się uda,
Niewidziane ujrzysz cuda!”
Grześ, nic nie mówiąc, rumaka wyklada,
Z niebiańskim uśmiechem młodzian go dosiada.
Zaledwie zwierzę mistrza rękę czuje,
Już się pnie, wędzidło żuje,
Niecierpliwie pianę toczy;
Skry sypią boskim ogniem ożywione oczy
I jakby inna istota już wcale,
Jak duch, jak bóstwo wznosi się wspaniale;
Naraz powiewne skrzydła rozpuszcza, rozwija,
Jakby wichur gwałtowny w obłoki się wzbija
I nim go wzrok dosięże, już znika, już ginie
W górnej błękitów krainie.

1795

Przełożył
Walenty Chłędowski

DO DZIECIĘCIA

Igraj na łonie matki – na tej wyspie bożej
Troska ciebie nie znajdzie – trwoga nie zatrwoży,
Ty w przepaść śmiejącymi spoglądasz oczyma
Wesoło i bezpiecznie, bo cię matka trzyma.
Igraj – bo jeszcze twoja myśl w Arkadyi gości,
A dusza się zgania za głosem radości.
Młoda siła o żadne szranki się nie łamie,
W obowiązek nie wkute buja młode ramię.
Igraj, wkrótce surowa zimna przyjdzie praca,
Co z ochoty i woli człeka ogołaca.

1795

Przełożył
Adam Gorczyński

IDEAŁY

Tak mnie odbiegasz wieku złoty,
Z drużyną fantazyjnych mar?
Wesela moje i tęsknoty,
Niby rozwiewny nikną gwar!
Zdradziecko tak, nieubłaganie,
Mkniesz, wieku młody, kędyś w dal...
Och! na bezbrzeżnym oceanie
Mkniesz tam, za prądem wiecznych fal.

Pogodne one słońca zmierzchły,
Co ozłacały drogę w świat,
A ideały się rozpierzchły,
Com sercem żywił je od lat.
W nic się rozwiewa ufność miła
W lube rojenia mego snu,
Och! rzeczywistość zniweczyła,
Co pięknym, boskim było tu.

Jako w pragnieniu drząc namiętne
Snycerz płonąca wtulił skroń
W posąg gład, aż żywym tętnem
Lodowy marmur odbrzmiał doń:
Z takim uczuciem Pigmaliona,
Gdy gorzał w łonie wieszczczy szął,
Objąłem ongi świat w ramiona,
Aż tchnął – iż martwych do mnie wstał.

I dzieląc ze mną pełnię życia
Niemowa on, zaszeptał w słuch,
Zrozumiał serca mego bicia,
Odcałowywał jako druh,
Aż pieśń zabrzmiała wniebogłosy!
Drzewo tam, kwiecie, strumień z gór,
Bezduśnych nawet gładów stosy
Odwtórowały rażno w chór.

I wszechmoc pragnień rozplómienia
Swoją potęgą piersi cieśń,
Bo oto zaznać chce wcielenia
W czyny i w słowa, w kształt i w pieśń.
Dopóki pąkiem się zielenił,
Jakże się wielkim zdawał świat!
Rozkwitłszy – jakże się odmienił!
Jakże poszarzał, zmałał, zbladł!

A młodzian duszą, sercem całym
Ukochał krótki życia nów,
Rozgrzany wewnętrznych ogniów szalem,

Skrzydlaty złudą wieszczych snów.
Aż pod słoneczne tam kolisko,
Do gwiazd niebieskich zmierza lot:
Wszystko za nisko dlań, za blisko,
Nieskończoności dotrze wrot.

Jakże jaśniało dumnie czoło!
Bez troski, bo na znój i bój
Wiódł on pod rękę, wiódł wesoło,
Cały korowód wietrzny swój;
Promienne szczęściem wiódł na ziemię:
Miłość, nieskapą słodkich łask,
Chwałę, w gwiazdzistym dyjademie,
Prawdę, odzianą w słońca blask.

Lecz ach! już na połowie drogi
Pierzchnął niewiernych druhów szyk,
Rzucając orszak wiatronogi
Jeden po drugim z oczu nikł.
Szczęście odbiegło i na zawdy;
Nie nasyciła wiedza chcień;
Słonecznej ach! oblicze prawdy
Zwątpienia owiał mroczny cień.

I wieńce chwały w poniewierce,
Patrzaj, na czyich czołach lśnią?
Osierociałoż wcześniej serce,
Po wiośnie krótkiej – zwiędło z nią.
I ciszej wciąż, i wciąż od tedy
Smutniej, samotniej z każdym dniem;
Ledwie nadzieja kiedyś – kiedy
W ciemni światelkiem mrugnie mdłym.

Któż po rozgłośniej onej wiośnie,
Podzieli ze mną kolej prób?
Kto obok stanie tu miłośnie
I złoży kiedyś w ciemny grób?
Ty! co koilaś wszystkie bole,
Przyjaźni słodka, drugie ja:
Ty mi na ziemskim tu padole
Wytrwaj, do schyłku wytrwaj dnia.

I ty! co z tamtą ręką w rękę
Umilasz wspólny zawód nasz,
Praco! ty zrosisz czoło w męce,
Lecz nie odbierasz już, co dasz;
I pod wieczności gdzieś podwoje
Pyłeczki wprawdzie z życia dróg:
Chwile, dni, lata niesiesz swoje,
Aż się umorzy czasów dług.

1795

Przełożył
Bohdan Zaleski

WIECZÓR

Według malowidła

Skłoń, promienisty boże – niwy łakną
Orzeźwiającej rosy, człowiek omdlewa,
Słabiej ciągną rumaki –
Skłoń ku ziemi swój wóz!

Spójrz, kto z kryształowej fali mórz w uśmiechu
Daje ci znak! Poznaje ją twoje serce?
Raźniej lecą rumaki,
Skinęła boska Tetys.

Spiesznie z wozu w ramiona jej skacze
Woźnica, cugle pochwycił Kupido,
Przystanąły rumaki,
Piją ochłodę z fal.

Na niebo cichymi krokami wstępuje
Wonna noc, a za nią słodka miłość.
Spoczywajcie, kochajcie!
Spoczął – kochając – Feb.

1795

Przełożył
Adolf Sowiński

KOLUMB

Płyn, odważny żeglarzu! niech się dowcip śmieje,
Niech majtkowi przy rudlu dłoń znużona mdleje,
Zawsze, zawsze na zachód! tam brzegi być muszą,
Wszak jasno i wyraźnie leżą przed twą duszą.
Wierz bóstwu, co cię wie, porz głębię uroczą,
Choćby lądów nie było, spod morza wyskoczą;
Geniusz i natura są w przymierzu wiecznie,
Co jeden obiecuje, da druga koniecznie.

1795

Przełożył
Kazimierz Brodziński

PODZIAŁ ŚWIATA

Rzekł raz Jowisz do ludzi: „Macie tu świat cały,
Bierzcie sobie! na wieki daję wam go w darze;
Lecz aby równe części wszystkim się dostały,
Po bratersku się dzielcie, jak miłość wam każe.”

Tu wnet każdy pośpiesza, kto tylko jest żywy,
Uwijają się rażno i stary, i młody,
Z ogarami po lesie ugania myśliwy,
Rolnik chwyta co prędzej chlebonośne płody.

Kupiec różne towary do sklepu zgromadza,
Do swych piwnic mnich toczy co najlepsze wina,
Król zamyka most, drogę, celnika osadza:
„Mnie się z tego należy – rzecz – dziesięcina.”

Wtem, po ukończonym już dawno podziale,
Wieszcz z dalekich stron przybył, spogląda wokoło...
A tu wszystko zabrano – nie było nic wcale –
Każdy panem u siebie; a smutny wieszcz woła:

„O, biada mi, nieszczęsnemu! – i westchnął żałośnie –
Ja, com wierność ci przysiągł zachować do zgonu,
Opuszczony od wszystkich ginę w życia wiośnie.”
Tak narzekając pada u Jowisza tronu.

„W błogich marzeń krainie bawiłeś się pono;
Nie obwiniaj mnie przeto, lecz samego siebie.
Gdzież byłeś – pyta Jowisz – kiedy świat dzielono?”
„Ja – odrzekł poeta – bawiłem u ciebie.

Na obliczu twym jasnym me oczy uwiły,
Ucho pieśni słuchało grona niebiańskiego,
A w zachwycie ducha utraciwszy zmysły,
Zapomniałem o dobrach padołu ziemskiego.”

„Cóż więc począć? – rzekł Jowisz – świat już podzielony
Nie mam prawa do miasta ni pola, ni lasu
Lecz przybytek mój zawsze dla cię otworzony:
Chceszli ze mną żyć w niebie, przyjdź każdego czasu.

1795

Przełożył
Henryk Gałeczki.

OBCA DZIEWCZYNA

W cichą dolinę – w chatę pasterza,
Ledwie się wiosna odmłodzi,
Skowronek w pierwszą piosnkę uderza,
Nadobne dziewczę przychodzi.

Dziewczę zrodzone w innej dolinie,
Nikt nie wie, skąd się pojawia;
Skoro odejdzie, ślad za nią ginie,
Po sobie go nie zostawia.

Błogo z nią ludziom; radość się wzmaga,
Rozkoszą serca nadyma;
A przecież od niej jakaś powaga
Każdego z daleka trzyma.

Z sobą owoce i kwiaty niosła,
Lecz ta z owocem gałązka
Pod innym słońcem wschodziła, rosła,
Z pól innych, ta kwiatów wiązka.

Każdego szczodrym obsypuje darem,
Temu da owoc, tym kwiatki;
Młodzian zarówno z człowiekiem starym
Wraca obdarzon do chatki.

Hojnie raczyła całą drużynę;
Przyszła dziewczica z kochankiem,
Najświeższym kwiatem stroi dziewczynę,
Młodziana najdroższym wiankiem.

1796

Przełożył
Adam Gorczyński

KSENIE I EPIGRAMY

DYSTYCH

Heksametrem fontanna w niebo wysoko się wzbija,
Pentametrem zaś w dół śpiewnie opada jak deszcz.

ESTETYCZNY CELNIK

Stać! Tu granica. Nazwisko, imię, stan, zawód, skąd – dokąd?
Niech nie ośmiela się nikt przejść bez paszportu i wiz.

KSENIE I

Naszym mianem jest dystych. Ani mniej, ani więcej
Zamknij rogatek na klucz, a przefruniemy ją w lot.

ODPRAWA CELNA

Proszę kufry otwierać! Może kto ma kontrabandę
Przeciw państwu czy wbrew prawom Boskim i cłom?

KSENIE II

Żadnych nie mamy bagaży, cały majątek w kieszeniach –
A kieszeń, każdy to wie – lekka u wieszczą jak puch.

NIEMIECKI MAJSTERSZTYK

Wszystko w tym wierszu jest świetne: myśl, język, rymy i rytmy –
Jednego tylko mu brak – że to niestety nie wiersz.

NAŚLADOWCA

Dobre stworzyć z dobrego – każdy potrafi to majster,
Geniusz i z podłych glin piękny ulepi kształt.
Ćwicz się więc, naśladowco, na dobrych, gotowych przykładach,
Nie przetworzoną zaś treść twórczy niech tworzy duch.

JĘZYKI MARTWE

Martwym zwiecie językiem mowę Pindara czy Flakka,
A przecież dziełem tych dwu, co w naszej mowie wciąż trwa.

CHWYT

Chcesz się podobać światowcom, a jednocześnie świętoszkom,
Maluj żądę – i bacz, by towarzyszył jej czart.

MISTRZ

Mistrzów zawsze rozpoznasz po tym, co ci p o w i e d z a,
Mistrza stylu zaś w tym, co p r z e m i l c z y – jak mistrz.

CZYTELNICY

Jakich chcę czytelników? Prosty, dla których niczym
ja i oni, i świat – a wszystkim treść moich ksiąg.

PEWNOŚĆ

Tylko rumak ognisty i śmiały pada na bieżni.
Osła zaś pozna i kiep po tym, że równy ma krok.

LIS PRZECHERA

Mówisz, że to już dawno w rymach opiewał poeta.
Czy to możliwe? Wszak treść wczoraj ta sama co dziś.

GODNOŚĆ CZŁOWIECZA

Proszę, dość filozofii, dajcie mu jeść i gdzie mieszkać
Byleby nagość swą skrył, godność odnajdzie już sam.

OCZEKIWANIE I SPEŁNIANIE

Z rozpiętymi żaglami młody wypływa na morze,
Łódką, zwiesiwszy nos, płynie staruszek w swój port.

KLUCZ

Jeśli sam się chcesz poznać, patrz, jak żyją sąsiedzi.
Ich zrozumieć byś rad, w serca własnego patrz głąb.

CO WYRZĄDZA SZKODĘ

Powiedz, czy błąd jest szkodliwy? Nie zawsze, ale błądzenie
Szkodę przynosi. A jak – drogi pokaże ci kres.

BOGOŻERCY

Dla nich jedzenie jest wszystkim. Karmią się ideami
Biorąc z sobą do nieb łyżkę, widelec i nóż.

DO MISTYKÓW

Która zagadka jest prawdą? Ta, co dokoła człowieka
Leży prawie u stóp – ale nie widzi jej nikt.

TO, CO WOLE

Odnieść n a d sercem zwycięstwo wielka to cnota w mych oczach,
Ale s e r c e m wieść bój – to mi najpierwsza z cnót.

NIEMIECKI GENIUSZ

Niemcze, walcz o moc Rzymu, walcz o piękno Heliady.
W obu sukcesów masz dość, lecz nie kuś się o *esprit*.

TAKI WIE WSZYSTKO

Jako astronom z pewnością wiele znasz gwiazdozbiorów,
Ale horyzont, wiedz, niejedną skrywa ci z gwiazd.

FILOZOFOWIE

Tyle jest filozofii! Która ostatecznie się? – Nie wiem.
Lecz filozofia, to wiem, przetrwa na pewno ten świat.

EPOKA

Wielką, mówicie, epokę zrodziło nasze stulecie.
Cóż, kiedy wielki dzień zastał karzełków tłum.

ŹRÓDŁO MŁODOŚCI

Wierzcie, to wcale nie bajka. Żywe źródło młodości
Wiecznie bije – a gdzie? w kraju poezji i Muz.

DZIECIĘ W KOLEBCE

Szczęśne niemowlę! Dla ciebie tyle jest miejsca w kolebce.
Ledwie wyrośniesz jak mąż, a wąski stanie się świat.

DO CHWALCY

Myślisz, że będzie większy, gdy go plecami podeprzesz?
Małym zostanie, jak był, tobie wyrośnie zaś garb.

PIĘKNY DUCH I PIĘKNODUCH

Lekki ciężar na lekkich barkach unosi pięknoduch,
Piękny natomiast duch lekko dźwiga i głaz.

PROROK

Szkoda, że z ciebie natura jednego stworzyła człowieka.
Materii było wszak dość i na poczciwca, i kpa.

TYRAN I TYRANIA

Nienawidzić tyrana może i duch niewolniczy,
Lecz dla tyranii ma wstręt tylko szlachetny duch.

REKLAMA KSIĘGARZA

Człowiek zawsze ciekawy wyroku swoich przeznaczeń.
Otóż za groszy pięć dowiesz się o tym z mych ksiąg.

WRÓG PRAWDY

Znowu nowy wróg prawdy! Jakżem zbolały i smutny
Widząc gromadę sów, co w światło lecą jak ćmy.

DOSKONAŁOŚĆ

Wielkość i doskonałość! W roślinie szukaj przykładu.
Czym jest bezwolny jej pęd, tym z własnej woli bądź ty.

DO FILISTRA

Ty się nie ciesz motylem. Z niego rodzi się liszka,
Która z miski ci wprost zeżre kapuchę do cna.

DO PEWNEGO CZYTELNIKA

Książek nie dosolonych czytałeś wiele, więc wybacz,
Jeśli ten oto tom bardziej jest słony niż sól.

Przełożył
Włodzimierz Lewik

DYLETANT

Mniemasz, żeś już jest poetą, gdy ci się strofka ułoży
W wykształconym języku, co myśli za ciebie i tworzy?

PRZYJACIEL I WRÓG

Drogi jest mi przyjaciel, lecz i dla wroga mam cenę:
Przyjaciel wskazuje, co mogę, wróg uczy, co powinienem.

NAUKA

Dla jednych jest boginią niebiańską, dostojną,
Dla drugich – dostawczynią masła: krową dojną.

DO POETY

Język – jak ciało w miłości – niechaj służy ci po to,
By – chociaż dzieli istoty – łączył istotę z istotą.

FORUM PAŃ

Nie sądźcie luźnych czynów mężczyzny, o panie,
Lecz o samym mężczyźnie wypowiedzcie zdanie.

CHWILA BIEŻĄCA

Wielką epokę zrodziło stulecie, ale nadmienię,
Ze wielki moment trafił na małe pokolenie.

DO MUZY

Nie wiem, czym byłbym bez ciebie, ale wstręt we mnie budzi
Widok, czym są bez ciebie setki, tysiące ludzi.

WSPÓLNY LOS

No cóż, nienawiść żywimy, dzielą nas pasje, ideje,
A tu pukiel twych włosów tak samo jak mój bieleje.

OBECNE POKOLENIE

Zawsze tak było? Zrozumieć czas nasz próżno się staram:
Tylko starość jest młoda, a młodość jakże – ach – stara!

MAĆCIELE SZTUK

Dobra chcecie od sztuk? A czyście godni sami
Dobra, które się rodzi w wiecznej wojnie z wami?

1796/7

Przełożył
Adolf Sowiński

NUREK

„Kto się odważy w wodne iść gardziele
Po ten bezcenny złoty puchar mój,
Rycerz czy giermek, jeśli w śmiałym dziele
Skończy zwycięsko z elementem bój,
Klnę się, że weźmie dar królewski za to:
Ten złoty puchar będzie mu zapłatą.”

Rzekł król i z głazu, co toń morską bodzie,
Patrzy, szkarłatny na wiatr zdawszy płaszcz,
A potem puchar na łup rzuca wodzie,
Chciwej Charybdzie do otwartych paszcz –
I do swych dworzan, którzy oniemieli,
Rzecz znów: „Nuże, nikt się nie ośmieli?”

Lecz oni milczą, źli i lękiem zdjęci,
Ledwie słuchają tych straszliwych słów,
Ani z nich kogo złoty puchar nęci;
Po wzdętej fali patrzy ten i ów,
Aż król posepny spyta po raz trzeci:
„Więc nikt z was czynem śmiałym nie zaświeci?”

Gdy tych słów słucha dwór ze strachu blady,
Pewien młodzieniec – męstwa w nim za dwóch –
Wyrwie się z giermków niepewnej gromady,
Na ziem rzuciwszy pas i płaszcz. To zuch!
A dworskie damy spojrzeniem go tkliwym
Darzą, zaś męże patrzą nań z podziwem.

I na brzeg kroki młodzieńcze go wiodą...
Już patrzy śmiało na skłębioną głąb,
Z której Charybda pryska w górę wodą
I wyjąc ciska ją na skały zrąb;
Zaś woda pianą z ciemnych łon ocieka,
A potem z grzmotem dalekim ucieka.

I wre, i kipi, i syczy, i pryska,
Jakby ją sparzył żar, i miota mgły
I szarą parę z rozwartego pyska,
I złym łbem fali o łeb wali zły,
Lecz nie wyczerpie swych wód i nie zmoże,
Jak gdyby morze miało rodzić morze.

A potem fala zniżyć się zaczyna
I kłaść spokojnie swój spieniony grzbiet,
Aż wodę czarna rozedrże szczelina
Bez dna, jak gdybyś do piekła nią szedł.
Cóż, że gdzieś odmet, piętrząc się, szaleje,
Gdy w głąb cię proszą te przepastne leje...

Prędzej! Nim wróca grzmiące wody z dali,
Trzeba iść w głębie przez tę śliską toń...
I tu król z dworem wielki krzyk wydali,
Bo śmiały młokos rzekłszy: „Boże, chroń!”
Skacze, a czeluść nad nim się zamyka
I tym, co patrzą, z ocz stroskanych znika.

Już z dna nie wyją głosy potępieńcze,
Tylko gdzieś wodny przelewa się chlust...
„Powracaj cało, odważny młodzieńcze!”
Takie życzenie biegło z ust do ust,
Aż znikli wszyscy: nieruchomo stoją,
A fala płynie smutno i nieswojo.

...Ach! Ja bym wolał nie chodzić w koronie,
Jeśli ją trzeba dobywać z dna wód.
Komu innemu niech ozdabia skronie,
Ja nie chcę takiej nagrody za trud,
Bo co zjeżone fal chowają grzywy,
Tego tu człowiek nie wypowie żywy.

Lecz jako czasem wyrasta z topieli
Maszt uszkodzony i – okiem nań rzuć! –
Ostatkiem żagla nad wodę wystrzeli,
Jakby ożyła dnu wydarta łódź,
Tak teraz odmęt wśród rosnących grzmotów
Wre, jakby ożyć przyplływem był gotów.

I wre, i kipi, i syczy, i pryska,
Jakby ją sparzył żar, i miota mgły
I szarą parę z rozwartego pyska,
I złym łbem fali o łeb wali zły,
A potem z grzmotem dalekim ucieka
I pianą z ciemnych wody łon ocieka.

Lecz patrz! Coś błysło u wód ciemnych łona,
Jak gdyby łabędź wśród nich śnieżnie lśnił:
Najpierw kark nagi, potem dwa ramiona
Lśnią, zdążające do brzegu co sił.
To on powraca. Jest radosny taki!
Ma puchar w ręce i daje nim znaki.

W piersi mu oddech utracony rośnie
I znowu światłu bożemu jest rad,
A już go wszyscy witają rozgłośnie:
„Żyje! Powrócił, patrzcie! A to chwat!
Z wodnego grobu, spod piekieł pokrywy
Powrócił cało i jest wśród nas żywy.”

A on w pokorze przed królem uklęknie
– Radosny zewsząd otacza go dwór –

I ze czcią odda puchar lśniący pięknie.
Wówczas król skinął na najmilszą z cór.
Gdy ta napełni puchar po brzeg winem,
Ozwie się śmiałek, głośny swoim czynem:

„Żyj długo, królu! A wam, przyjaciele,
Też najdłuższego życzę tutaj dnia.
Lecz kto z was duszę chce zatrzymać w ciele,
Niechaj morskiego ten unika dna
I niech nie sięga w ową głąb zuchwale,
którą Bóg zasnuł w wieczny mrok i fale!

W tę głąb mnie gwałtem niosła wody siła,
Gdzie rodzi wiry dna najskrytszy kąć...
I jakby naraz woda się zbiesiła,
Porwał mnie, rycząc, jej podwójny prąd.
Próżno chcą opór stawiać słabe ręce:
Już razem z wirem jak piórko się kręcę.

Aż mnie Bóg dobry wydobył z tej biedy,
Żem się żarliwie wprzód modlił doń,
I sam już dobrze nie wiem, jak i kiedy
Znalazła pomoc ma tonąca dłoń:
Koral jej podał końce swej gałęzi.
Patrzę, a ona puchar w sobie więzi...

I dzięki temu jeno nie spadł w bezdno
Leżące niżej, pod stopami tuż:
W ciemność krwawymi koralami gwiezdną
I pogrążoną wśród wieczystych głusz,
Tam, za zasłoną nieodgadłych mroków,
Sto się ruszało stwór, piekielnych smoków.

I tłum tych poczwara wolno się wyraja,
Jak gdyby ktoś ich ciała splątał w kłąb:
Tu młot żarłoczny, tam okrutna raja,
Stąd rekin ostry pokazuje ząb,
A stamtąd grozi paszczą, pełną piany,
Ludojad, hieną morską nazywany.

I wiszę nad tą ospałą pustoszą,
W której się żywy nie pokaże duch,
Tylko te strzygi wszędzie strach roznoszą...
Ach! Gdyby ze mną był choć jeden druh!
Lecz znikąd rady! Nikt pomocy nie da,
Gdy mnie otoczy ta głodna czereda.

Sięgają po mnie lepkimi uściski
I otwierają paszcz łakomy krąg,

Aż zdjęty wstrętem i szaleństwa bliski,
Wypuszczam koral ze struchlałych rąk...
I znowu wiry zakrecają się biesie,
A jeden, zbawczy, do góry mnie niesie.”

Tych słów król słuchał usiadłszy wysoko
I rzekł: „Mój puchar szczerozłoty bierz!
Lecz i ten pierścień – patrz, jakie ma oko
I jaki piękny – będzie twoim też,
Jeśli raz jeszcze – czyż twa śmiałość kłamie? –
Znajdzie go na dnie twe zwycięskie ramię.”

Tu łza królowie w tkliwym oku błyska
I powie słodko, z lęku cała drżąc:
„Królu, już dosyć straszno igrzyska.
A jeśli stłumić nie możesz swych żądz,
Wszak ci już giermek pokazał, co umie:
Śmielszych poszukaj tam, w rycerskim tłumie!”

Lecz król pochwycił za puchar i nużę,
W skłębioną otchłań rzuciwszy go, rzekł:
„Gdy wrócisz znowu na tronu podnóże,
Żaden ci w sławie nie dorówna człek,
A tę, co prośbą zdradza, żeś jej luby,
Świętymi z tobą każę związać śluby.”

Od tych słów promień na młodzieńca pada,
A dziewczę lica raz maluje wstyd,
Raz, że ma zemdleć, wróży twarz jej blada...
Pójdzie młodzieniec: choć jest męstwa syt,
Zęby ją zdobyć na zawsze lub zginać.
Gotów raz drugi w topiele wypłynąć!

I znów prą wody, wracają z daleka,
A grzmot o każdej daje głucho wieść...
Ktoś liczy fale i wytrwale czeka,
Bo wie, że jedna miała śmiałka nieść.
Lecz fale jęczą, opadają wody
I nigdy śmiałek z nich nie wyjdzie młody.

1797

Przełożył
Stanisław Maykowski

REKAWICZKA

Chcąc być widzem dzikich bojów,
Już u zwierzyńca podwojów
Król zasiada.
Przy nim książęta i panowie Rada,
A gdzie wzniosły krążył ganek,
Rycerze obok kochanek.

Król skinął palcem, zaczęto igrzysko,
Spadły wrzeczadze, ogromne lwisko
Z wolna się toczy,
Podnosi czoło,
Milczkiem obraca oczy
Wokoło,
I ziewy rozdarł straszliwie,
I kudły zatrząśł na grzywie,
I wyciągnął cielska brzemię,
I obalił się na ziemię.

Król skinął znowu,
Znowu przemknie się krata,
Szybkimi skoki, chciwy połowu,
Tygrys wylata.
Spoziera z dala
I kłami błyska,
Język wywala,
Ogonem ciska
I lwa dokoła obiega.
Topiąc wzrok jaszczurczy
Wyje i burczy;
Burcząc na stronie przylega.

Król skinął znowu,
Znowu podwój otwarty,
I z jednego zachowu
Dwa wyskakują lamparty.
Łakoma boju, para zajadła
Już tygrysa opadła,
Już się tygrys z nimi drapie,
Już obudwu trzyma w łapie;
Wtem lew podniósł łeb do góry,
Zagrzmiał – i znowu cisze –
A dzicz z krwawymi pazury
Obiega... za mordem dysze.
Dysząc na stronie przylega.

Wtem leci rękawiczka z krużganków pałacu,
Z rączek nadobnej Marty,
Pada między tygrysa i między lamparty,

Na środek placu.
Marta z uśmiechem rzecze do Emroda:
„Kto mię tak kocha, jak po tysiąc razy
Czułymi przysiągł wyrazy,
Niechaj mi teraz rękawiczkę poda.”
Emrod przeskoczył zapory,
Idzie pomiędzy potwory,
Śmiało rękawiczkę bierze.
Dziwią się panie, dziwią się rycerze.
A on w zwycięskiej chwale
Wstępuje na krużganki.
Tam od radośnej witany kochanki,
Rycerz jej w oczy rękawiczkę rzucił,
„Pani! Twych wdzięków nie trzeba mi wcale.”
To rzekł i poszedł, i więcej nie wrócił.

1795

Przełożył
Adam Mickiewicz

PIERŚCIEN POLIKRATESA

Stał na wzniesieniu swych gmachów Wysokiem
Pan wyspy Samos i radośnym okiem
Mierzył rozległe jej niwy.
„Tym wszystkim – rzeczce do Egiptu króla –
Zarządza moja samowładna wola.
Wyznaj, że jestem szczęśliwy!”

„Szczodrze bogowie łask ci udzielili!
Ci, którzy przedtem równi tobie byli,
Ulegli twej władzy z trwogą;
Lecz jeden jeszcze pomstę w piersiach kryje,
Usta więc moje, póki wróg ten żyje,
Szczęśliwym zwać cię nie mogą.”

I zanim jeszcze król tych słów domawia,
Goniec z Miletu wysłany się stawia,
Wchodzi w podwoje tyrana:
„Każ, panie, bogom ofiarne wnieść wonie,
Wesoły wawrzyn niech wieńczy twe skronie,
Stanowcza bitwa wygrana!

Twój nieprzyjaciel legł od włóczni w boju;
Nic niech już twego nie miesza pokoju,
To ci przeze mnie wódz głosi.”
I wtem, pomyślną poświadczając mowę,
Z czarnej miednicy dobrze znaną głowę
Z przestraczem wszystkich podnosi.

Król się odwraca na ten widok krwawy
I rzeczce, wzrokiem rzucając obawy:
„Szczęściu nie ufaj za wiele!
Zważ, na żywiołu niesformego grzbiecie
Los floty twojej; burza ją rozmiecie.
Pochłoną morskie topiele.”

I zanim jeszcze wymówił te słowa,
Już od przystani grzmi wiadomość nowa,
Radosny okrzyk się wzbija:
„Ładowny cudzych owocem zabiegów,
Z licznymi skarby, do ojczyzny brzegów,
Gęsty las zagli zawija.”

„Dziś, widzę, dobrze tve szczęście ci służy –
Rzekł król zdumiony – lecz nie wierz mu dłużej,
Często uśmiecha się zdradnie.
Śmiały Kreteńczyk zebrał hufce zbrojne,
Zgubną zza morza przynosi ci wojnę,
Wnet piękne Samos napadnie.”

I zanim jeszcze król tych słów domawia,
Okrzyk radosny z okrętów się wznawia

I tysiąc głosów wykrzykło:
„Zwycięstwo z nami! wojna ukończona,
Kreteńska flota przez burze zniszczona,
Niebezpieczeństwo już znikło!”

Gość z przerażeniem słucha tych odgłosów:
„Któż by szczęśliwych nie przyznał ci losów?

Jednak o ciebie drzę cały;
Zawiści bogów lękać się potrzeba!
Szczęścia bez zmiany nigdy jeszcze nieba
Śmiertelnym doznać nie dały.

I mnie niebiosa sprzyjają łaskawe:
Lud rządy moje, świat podziwia sławę,
W dostatkach szczęśliwy żyłem;
Lecz życia mego nadzieja jedyna
Zgasła w mych oczach: postradałem syna;
Tak szczęściu dług mój spłaciłem.

Jeśli więc chcesz się uchronić od zguby,
Błagaj przedwiecznych, pokorne czyn śluby,
Niech w szczęście smutek wmieszają.
Nikt jeszcze życia nie skończył spokojnie,
Na kogo zawsze dłonie niebios hojnie
Zdrój szczodrej łaski zlewają.

A gdy ci tego nie użyczą bogi,
Chciej przyjaciela posłuchać przestrogi:
Sam sprowadź smutek na siebie,
Przejdź szczerą myślą skarby twoje mnogie,
Co z nich najwięcej sercu twemu drogie,
Niechaj to morze zagrzebie!”

A on przejęty trwogą odpowiada:
„Ze wszystkich skarbów, co Samos posiada,
Ten pierścień skarb mój jedyny;
Chcę go więc bogom – mścicielom przeznaczyć,
Może mi raczą me szczęście przebaczyć.”
I rzuca klejnot w głębiny.

I ledwie dzionek najbliższy zaświta,
Nieznany rybak o księcia się pyta,
Radośny przed księciem staje:
„Panie! tę rybę wczora w sieć dostałem,
Pierwszy to połów w moim życiu całym,
Tobie ją w hołdzie oddaję.”

I gdy kuchenny rzadką rybę sprawia,
Zmieszany dziwem, jakie mu się zjawia,

Wpada na pańskie pokoje:
„O panie! pierścień, któryś w morze rzucił,
W wnętrznościach ryby do ciebie powrócił,
Bez granic jest szczęście twoje.”

Gość na ten widok zrywa się z przestraczem:
„Pod jednym z tobą nie mogę być dachem
Ni przyjaciela mieć w tobie;
Zgubny sąd bogów nie może cię minąć,
Uchodzę spiesznie, nie chcę z tobą ginać!”
Rzekł i odpłynął w tej dobie.

1797

Przełożył
Walenty Chłędowski

ŻURAWIE IBIKA

Na wyścig wozów, popis pieśni
W Koryntu międzymorskiej cieśni,
Gdzie się mórz boga dni święciły,
Podążał Ibik bogom miły.
Bo czarem pieśni go od młodu
Darzył Apollo nań łaskawy;
Więc z rodzinnego Regium grodu
Ochoczo szedł po wieniec sławy.

Bliska dlań chwila upragniona:
Już Akrokorynt z dala zoczył
I w gaj sosnowy Posejdona
Z pobożnym dreszczem pielgrzym wkroczył.
Cisza tam była; tylko stado
Żurawi ujrzał w górze mknące,
Co porzuciwszy północ bladą
Płynęło w strefy gdzieś gorące.

„Witajcie mi, przyjazne ptaki,
Już z morskiej znane mi podroży!
Wasz lot pomyślność dla mnie wróży,
W udziale mamy los jednaki:
Droga tu wiodła nas daleka,
O schron gościnny śłem błagania.
Wielkiego Zeusa niech opieka
Od krzywd i hańby nas osłania!”

I dalej, przyspieszając kroku,
Gdy w głębię leśnej wszedł kotliny,
Na wąskim przejściu wśród gęstwiny
Dwaj zbójcy nań wypadli z boku.
Daremnie od nich się obrania!
Opadły ręce mu zmęczone,
Do strun nawykłe potrącania –
Do miecza, łuku nie wdrożone.

O pomoc błaga bogów, ludzi;
Lecz próżno tylko głos swój trudzi,
Nikogo on tu nie poruszy –
Nie masz dokoła żywej duszy!
„Więc mam umierać opuszczony,
Z daleka od rodzinnej ziemi!
Paść pod ciosami zbrodniczymi,
Nie oplakany, nie pomszczony!”

I ciężko wnet raniony pada,
W oczach ściemniało; tylko słyszy
Szum skrzydeł żurawiego stada

I wrzaski lotnych towarzyszy.
„Wzywam na świadków was, żurawie,
Skoro nikt z ludzi mnie nie słuca,
Wy skargę w mordu wniescie sprawie!”
Zawołał – i wyzionął ducha.

Podjęto trupa; w nagim ciełe,
Chociaż ranami poszarpane,
Zaraz korynccy przyjaciele
Poznali rysy ukochane.
„Więc pogrzeb mamy sprawić tobie!
Więc tak nam iszczą się nadzieje,
Że na twej skroni w tej tu dobie
Sosnowy wieniec zajaśnieje!”

I wszyscy goście zasmuceni, –
Na cześć Neptuna zgromadzeni;
Wszystką Helladę ból dotyka,
Każdemu sercu żal Ibika.
I rzesza zbiegła się wrzaskliwa
Wołając groźnie na prytana,
By zbrodnia była ukarana,
Bo cień poety pomsty wzywa.

Lecz pośród ludów pstrej gromady,
Żądnych świątecznej tu uciechy,
Jak na zbrodniarzy trafić ślady?
Przez jakie ich wyróżnić cechy?
Czy to zwyczajni zbójcy byli,
Czy jaki wróg zazdrosny może?
Ty chyba wiesz, słoneczny boże,
Co wglądasz wszędy każdej chwili!

Kto wie, czy zbrodniarz nie przebywa
Zuchwale tutaj, między nami,
I gdy go kara szuka mściwa.
Cieszy się zbrodni owocami.
Może gdzie do świątyni śpieszy
Urągać bogom chcąc umyślnie,
Albo wmieszany wśród tej rzeszy
Wraz z nią się do teatru ciśnie?

W teatrze tłok już; wszystkie ławy
Zapełnił szczerze tłum ciekawy
Przybyłych z bliska i z daleka
I widowiska chciwie czeka.
A szumiąc jak wezbrane wody
Gmach niby rósł od ludu mnóstwa
I w coraz szersze wzwyż obwody
W niebo się piął ku progom bóstwa.

Któż zliczy ludy, nazwie rody,
Co się tu zbiegły na te gody!
Z Tezeja grodu i z Aulidy,
Z kraju Spartanów i z Focydy,
I azjatyckich miast wysłańce,
I tylicznych wysp mieszkance!
Wszyscy na scenę patrzą; chóry
Już rozpoczęły śpiew ponury.

Jak zawsze w grozy majestacie
Straszne zjawiają się postacie;
Z wolna mierzone stawiać kroki
Obchodzą scenę w krąg szeroki.
To być nie mogą córki ziemi,
Takie z śmiertelnych się nie rodzą!
Ich ciała kształty olbrzymiemi
Człowieczą miarę wszak przechodzą.

W czarne opończe otulone
Idą, a ręce ich kościste
Niosą pochodnie rozżarzone;
Twarze ich blade i bezkrwiste;
Tam zaś, gdzie wdzięcznie włos się wije
W pierścienie czoło nam zdobiące,
Jaszczurki wiją się i zmije,
Śmiertelnym jadem tryskające.

Mrowiem korowód ich przejmuję,
A hymn posepny tak czaruje,
Tak się do głębi serca wraża,
Iż obezwładnia wnet zbrodniarza.
Zmysły mu durzy, mózg rozrywa;
A nawet i niewinna dusza
Do gruntu się tym śpiewem wzrusza,
Przy którym lira niemą bywa:

„Szczęśliwy, kto bez winy żyje!
Szczęśliwy, czyste serce czyje!
Ciosy go nasze tknąć nie mogą,
Idzie bez troski życia drogą.
Lecz biada temu, kto się skrycie
Na czyjekolwiek targnął życie!
Taki nie ujdzie naszej mocy –
Zgnębimy go, my, córki Nocy.

Próżno by od nas chciał się schronić!
Jesteśmy lotne, będziemy gonić,
Narzucać pętlę mu na nogi,
Ażeby padał pośród drogi;
Nie damy skruczą się przebłągać,
Ścigać go będziemy bez wytchnienia

I pod Tartaru aż sklepienia,
I jeszcze tam okrutnie smagać!”

Tak brzmiały straszne furyj słowa;
A w cyrku cisza jak grobowa
Nad ludzkim legła rojowiskiem:
Rzekłbyś, że bóstwo było bliskiem.
Jak zawsze w grozy majestacie,
Z wolna mierzone stawiać kroki,
Obeszły scenę w krąg szeroki
I znikły w głębi te postacie.

Pod mocą prawdy czy złudzenia
Drżą wszystkie piersi ze wzruszenia,
Ze czci dla siły tej straszliwej,
W ukryciu czujnej, sprawiedliwej,
Co niedostępna dla badania,
Koleje losów płacze zmienne,
Czującym sercom się odsłania,
Lecz nie chce wyjść na światłoienne.

Nagle z najwyższych siedzeń koła
Donośnie jakiś głos zawoła:
„Patrz, Tymoteju! Toż to owe
Żurawie lecą Ibikowe!”
I w rzeczy niebo pociemniało:
Bo ponad samym cyrkiem, górą,
Ogromną szarowąatą chmurą
Żurawi mnóstwo przeleciało.

„Ach, Ibikowe!” Dźwięk imienia
Drogię ból znów w sercach nieci;
Jak w morzu fala falę zmienia,
Tak imię to z ust do ust leci:
„Ibik, ten świeżo oplakany,
Co pod morderców legł ciosami!
Lecz skądże wykrzyk niespodziany?
I jaki związek z żurawiami?”

Coraz to głośniejszy każdy pyta,
Ale przecucie w oka mgnieniu
Każdemu szepcze: „W tym zdarzeniu
Tkwie eumenid moc ukryta!
Toż się złoczyńca sam ogłasza –
Schwytny go na słowie świeżem,
A wraz tamtego z nim zabierzem:
Pomszczona będzie boleść nasza!”

O, pragnął lotr, by w chwilę ową
Przepadło gdzieś to zgubne słowo;

Lecz próżno! Bo pobladłe lice
Wydaje zbrodni tajemnicę.
I słucha sędziego oskarżenia;
W trybunał scena się zamienia;
Przyznali winę swą zbrodniarze
I słusznej wnet ulegli karze.

1797

Przełożył
Aleksander Albert Krajewski

ZLECENIE DO HUTY

Frydolin był to pacholek wierny,
W bojaźni Bożej chowany,
Całkiem władczyni swej oddany,
Pani hrabinie z Sawerny,
Łagodnej, dobrotliwej pani;
Lecz choćby się jej zbytków chciało,
To on by wszystko duszą całą
Przez miłość Boską spełniał dla niej.

Bo od pierwszego brzasku dnia
Aż po nieszporne dzwony
W głowie mu tylko pilność ta
I był w niej niestrudzony:
„Odpocznij!” Gdy usłyszał to,
Wnet oko mu zachodzi łą,
Bo zaniedbaniem jemu zda się
Nie służyć pani w każdym czasie.

Toteż nad wszystkich w służbie swej
Ceniła go hrabina;
Raz po raz piękne usta jej
Chwały Frydolina.
Już nie widziała sługi w nim,
Przystając jak z rodzonym swym,
I oczy jej niejedną chwilę
Na paziu spoczywały mile.

Pilność i łaski – wszystko to
Roberta – strzelca bodło;
Jad złości z dawna trawił go,
Duszę w nim burzył podłą.
Więc w serce pana w zdatny czas,
Gdy z łowów powracali raz
(Pan – prędko, łatwy do zwiedzenia),
Jał ciskać ziarna podejrzenia.

„Bodaj to”, mówił, „pański los!
Ot jak Wielmożność Wasza:
Zazdrości Wam zgrzytliwy głos
Złotego snu nie splasza.
Pani hrabina niewiast wzór!
Małżeńskiej wiary mocny mur
Jej sromu strzeże; tam się, panie,
Żaden kusiciel nie dostanie.”

„Co ty mi bajesz, błaznie sam!”
Rzekł hrabia brwi zmarszczywszy,
„Niewieściej wierze ufać mam,

Od wodnych fal ruchliwszej?
Lada pochlebca zmaci ją;
Twardszy grunt wspiera ufność mą:
Jam pan Sawerny – to wystarcza,
To żony mej od pokus tarcza!”

A Robert znowu: „Święcie tak!
Pan hrabia drwić też może
Z tego, że jakiś głupi żak
Na jego czyha łoże;
Sam sługa i ku pani śmie
Obracać sprośne żądze swe” –
Tu hrabia doń, już z gniewu błady:
„Jest taki? Wśród mych sług gromady?”

„Ach, czyżby to, co każdy wie,
Wam miało być nieznane!
Lecz skoro tak pan hrabia chce,
Niech będzie pochowane” –
„Ha, łotrze!” głos hrabiego grzmiał:
„Śmierć twoja, jeśliś kłamać śmiał!
Mów, kto spogląda ku hrabinie?”
„Mówiłem wszak... o tym blondynie.

Chłopak przystojny, nie ma co!”
Chytrze dorzuca jeszcze.
Hrabia to płonie, to znów go
Zimne przechodzą dreszcze.
„I któryż by nie dostrzegł mąż,
Jak w panią oczy wlepią wciąż?
Przy stole pana nie chce znać,
Rad u jej krzesła wiecznie stać!

I wiersze pisał: wyznał w nich
Miłosne swe zapłaty –”
„Wyznał?” – „A tak i wzajem ich
Śmiał żądać chłop zuchwały.
Pani przez dobre serce swe,
Przez litość, skryła głupstwa te;
I nie ma nad czym się rozwodzić:
Cóż to hrabiego ma obchodzić!”

Wtem nagle pan do bliskich hut
Zawrócił zły, ponury,
Kędy żelaznych jego rud
Topniały co dzień góry.
Tam straszną w piecach ognia moc
Podsyczał węgiel dzień i noc,
A miechy dąć nie przestawały,
Aż oczy żar olśniewał biały.

Tam sojusz dwóch potężnych sił,
Ognia i wody, czynny był;
Koła potoku prądem pchane
Szumiały wciąż ciskając pianę.
I w dzienny tam i w nocny czas
Waliły młoty w takt raz w raz;
Pod nimi kruszec uporczywy
Miękki się stawał i ciągliwy.

Pan przybył, skinał; wnet co tchu
Przybiegli dwaj parobcy.
„Kto pierwszy”, rzekł im, „przyjdzie tu
I was zapyta, chłopcy:
Czy spełnion rozkaz dany wam? –
Rzucicie go w to piekło tam!
Niechaj się w nim spopieli cały,
By go me oczy nie widziały!”

I ucieszyło drabów tych
Zlecenie srogie pana:
Zdziczałe były serca ich,
Twarde jak stal kowana.
Katowską chuć poczuli krwawą,
Skoczyli więc do miechów żwawo
I rozżarzali piec zawzięcie
Ofierze bliskiej na przyjęcie.

Cieszył się Robert – zbrodzień też,
Do pazia szedł skwapliwie:
„Hrabia cię woła”, mówił, „spiesz,
Bo czeka niecierpliwie”.
Frydolin skoczył. „Słuchaj no”,
Rzekł hrabia, „pójdiesz rano
Do hut i dowiesz się, czy to,
Com zlecił, wykonano”.

„Podług rozkazu sprawię się”,
Paż na to uniżenie;
A wnet pomyślał: Może mnie
I pani jakie da zlecenie?
Trzeba się jej zapytać wprzód.
Poszedł i mówił: „Mam do hut
Iść jutro: spytać się poważę,
Czy pani czego nie rozkaże”.

„Dziękuję”, słodkim głosem swym
Odrzekła mu hrabina;
„Na mszy być jutro chciałabym,
Lecz chora mi dziecina.
Więc o to jedno proszę cię:

Wstąp do kościoła; pomódl się
Za mnie i synka mego szczerze;
Pomoc nam dadzą twe pacierze”.

Frydolin z pierwszym brzaskiem dnia
Wyruszył w drogę żwawy,
Kontent, że coś wypełnić ma
Dla pani swej łaskawej.
Nie doszedł jeszcze końca wsi,
Już dzwon kościelny dźwięcznie brzmi
I rozlegając się dokoła,
Na nabożeństwo wiernych woła.

Gdy Pan i Bóg twój spotka cię,
Nie uchodź mu z twej drogi! –
Pamiętał paż przestrogę tę
I wszedł w święcone progi.
W kościele pusto: był czas żniw,
Więc w polu zwijał się kto żyw;
Każdy tą pracą był zajęty,
Nie miał kto służyć do mszy świętej.

Pomyślał paż: Usłużę ja!
I do zakrystii bieży:
„Nie będzie zdrożna zwłoka ta,
Gdy Bogu się należy”.
Na księdza zręcznie albę wdział
I ornat haftowany,
Ampułki nalał, podniósł mszał,
Sam w komżę też przybrany.

Ministranturę umiał tak
Jak pacierz doskonale;
Rozumiał księdza każdy znak,
Niby sam czytał w mszale;
Klękał na lewo i na prawo,
Dzwonkiem, gdzie trzeba, trząsał żwawo,
A kiedy S a n c t u s się ozwało,
Machnął nim trzykroć z siłą całą.

Gdy potem kornie ksiądz schylony
Podniósł hostię świętą
I Boga, co w niej utajony
Przemianą niepojętą,
Ministrant wówczas szybko dzwonił,
By każdy klął i głowę skłonił
I w piersi się przed Zbawcą bił,
Co grzech nasz pierworodny zmył.

Niezmiernie tak przez całą mszę
Uważny był i pilny
Mając pobożną służbę tę

W pamięci swej niemyłej
I póty nią zajęta głowę,
Aż I t e, m i s s a e s t końcowe
Ksiądz rzekł, do wiernych obrócony,
I obrzęd został dopełniony.

Frydolin po mszy prędko już
W zakrystii się uwinął;
Z kościoła wybiegł – droga tuż,
I zaraz wioskę minął.
Nie ustał jeszcze ranny chłód,
Ochoczo śpieszył więc do hut;
By sobie zaś czas drogi skrócić,
Godzinki jął półgłosem nucić.

Aż ujrzał pieców rząd dymiących;
Do miejsca wkrótce doszedł sam
I spytał ludzi tam stojących:
„Czy spełnion rozkaz dany wam?”
Z nich jeden, złośnie krzywiąc twarz,
Na czeluść pieca wskazał: „Masz!
Właśnieśmy go ukołysali!
Pan hrabia sługi swe pochwali”.

Frydolin z odpowiedzią tą
Do zamku zaraz bieży.
Tam groźny pan ujrzawszy go
Swym oczom ledwo wierzy.
„Nędzniku”, krzyknie, „Gdzieś był? Mów!”
„Ja w hutach byłem”. – „Żartuj zdrów!
Lub chybaś dużo spóźnił się?”
„Ach, panie, tak: o całą mszę.

Gdym dostał rozkaz iść do hut,
Pan hrabia mi nie zgani,
Żem wierny służbie poszedł wprzód
Zapytać się mej pani;
Kazała mi wysłuchać mszy;
Tom spełnił i koronki trzy
Zmówiłem w ciągu tej godziny
Za szczęście pańskie i hrabiny”.

Zdumiony hrabia nie wie sam,
Co myśleć; pyta znów młodziana:
„No, jakaż ci więc w hutach tam
Odpowiedź była dana?”
„Co by znaczyła, trudno rzec;
Zaśmiał się któryś, wskazał piec:
Tuśmy go, rzekł, ukołysali!
Pan hrabia sługi swe pochwali”.

„A Robert?” woła pan i chłód
Po ciele uczuł całem;
„Czyś go nie spotkał? w stronę hut,
Do lasu go posłałem”.
„Nigdzie Roberta z żadnej strony
Nie dojrzał, Jasny Panie” –
„Ha”, westchnął hrabia pogiębiony,
„Widoczne Boskie w tym skaranie!”

Tu podał słudze rękę swą
Z dobrocią niebywałą
I do hrabiny powiódł go,
Zdziwionej, co się stało:
„Anielska czystość w chłopcu tym,
Więc go polecam łaskom twym!
Bardzo ja źle uczynić chciałem,
Lecz Bóg po jego stronie stał”.

1797

Przełożył
Aleksander Albert Krajewski

WALKA ZE SMOKIEM

Czemu wzburzona tłumy fala
Z ulic w ulice się przewala?
Czy Rodos ginie wśród płomieni?
Pędzą zziądani i skłębieni,
A wśród nich rycerz na rumaku
Z trudem przeciska się po szlaku,
Za nim zaś wloką – co za dziwy! –
Smoka, o, potwór to prawdziwy!
I dziś napęlnia serca drżeniem,
Gdy krokodyli pysk wyszczerza;
I wszyscy patrzą ze zdumieniem
Na smoka albo na rycerza.

Jak gdyby ujrzął tłum upiora,
Słysząc krzyk: „Patrzcie na potwora!
Porywał owce i pasterzy,
A teraz powalony leży
Przez jadącego tu młodziana;
Inni, co walczyć w imię Pana
Szli, nie wracali już z pustkowi –
Chwała i cześć bohaterowi!”
Biegną pod klasztor, gdzie rycerze
Jana Chrzciciela w mrocznej sali,
Oddani chrześcijańskiej wierze,
Na wielką radę się zebrali.

I młodzian się do mistrza zbliża,
Na pięknej zbroi godło krzyża;
Za nim płonące widać twarze –
Pomruk napęlnia refektarze.
Ów rzecze skromnie: „Zabić zwierza –
Powinność była to rycerza;
Bo smok pustoszył trzody, ziemie,
Żalobą okrył nasze plemię.
Pasterz nie lęka się już wcale,
Wędrowiec śmiało śpi w gęstwinie,
I pielgrzym wspina się po skale
Do miejsca, które z cudów słynie.”

Ale mistrz patrząc nań surowo
Rzecz: „Walczyłeś brawurowo,
Odwaga z czynów twych wyziera,
Ta, która zdobi bohatera.
Lecz mów – znasz pierwszy obowiązek,
Co nierozłącznie spaja związek
Tych, co są krzyżem naznaczeni?”
Wszyscy pobledli zatrwożeni.
„Znam: posłuszeństwo – rzekł łagodnie

Rycerz, zginając się w pokłonie –
Musi oporność mieć za zbrodnię,
Kto pragnie bratem być w Zakonie.”

„I tę powinność tyś zuchwale
Podeptał! – krzyknął mistrz w zapale –
Niebacznym, że jej wzbrania prawo,
Niecnie podjąłeś walkę krwawą!”
„O panie, bądźże sędzią moim –
Odrzecz rycerz ze spokojem –
Myślałem, że ruszając w pole
Wypełniam prawa sens i wolę.
Z premedytacją wyruszyłem,
Gdy osądziłem, że już pora,
Specjalny podstęp wymyśliłem,
Aby zwyciężyć dziwotwora.

Pięciu obrońców naszej wiary
Padło, spełniły się ofiary;
Więc nie chcąc poddać się losowi,
Tyś wzbronił bić się Zakonowi.
Lecz moim sercem rozporządza
Niepokonana walki żądza –
W snach cichej nocy, w marzeń znoju
Widziałem siebie w krwawym boju.
A gdy świtanie wstało nowe,
O nowych klęskach niosąc wieści,
Wściekłość mą ogarnęła głowę
I odważyłem się – z boleści.

Myślałem sobie: co sposobi
Nas na herosów, sławą zdobi,
Co czynią wielcy bohaterzy,
Że pieśń – ich dzieje w świecie szerzy,
Że uwielbienie pogan ślepych
Dało im bogów blask i przepych?
Potrafią, gdy im przemoc zbrzydła,
Ziemię uwolnić od straszidła,
Odwrócić od ofiary klęski,
Zduszą grożące jej centaury,
Z dzikim lwem stoczą bój zwycięski
I pokonają Minotaury.

Czy tylko Saracenów głowy –
Godne, by miecz je Chrystusowy
Ścinał, gdy jego mocne ramię
Każdego przeciwnika złamie?
Zbawienie świata, postrach bogów –
Tylko fałszywych bić ma wrogów?
Złączona z męstwem chytrą węża
Wszystkie przeszkody przezwycięża.
Więc wyruszyłem między głązy,

By poznać przejścia, dróżki, ślady –
Tam przemyślałem wiele razy
Szczegóły przyszłej eskapady.

Rzekłem do ciebie zasmucony:
«O j czyste mnie wzywają strony.»
Daleś swą zgodę – więc w pokorze
Wzburzone przepłynąłem morze.
Gdy osiągnąłem brzeg ojczysty,
Na zamówienie – dłoń artysty
Wyczarowała obraz smoka,
Zgodnie z pamięcią mego oka.
Na krótkich łapach – brzuch kosmaty
Z ogromną siłą niszczycielską,
I gruby pancerz łuskowaty
Potężne opasuje cielsko.

Na wszystkie strony szyję miota,
A gardziel, jak do piekieł wrota,
Zieje, zdobyczy wiecznie chciwa;
Chrapliwy dech się z niej wrywa,
A przez oddechu gęste kłęby
Ostre w szeregach błyszczą zęby;
Język jak sztylet z cienkim szpicem,
Oczka rzucają błyskawice,
Co gasną w rozwichrzonej grzywie.
Cielsko się kształtem kończy węża,
Co w koło wijąc się straszliwie
Konia opasać mógł i męża.

W szczegółach ściśle odtworzony,
Straszną szarością powleczony,
Pół wąż, pół smok, pół jaszczur duży,
Którego zrodził jad kałuży.
Gdy potwór gotów był, dwa dogi
Wybrałem wielkie, psy bez trwogi,
Silne, biegnące w cwał po łące
I żubra dopaść umiejące.
Szczułem je, aby szły na smoka
I gryzły w opętaniu dzikiem;
Aby trysnęła zła posoka,
Gnałem je bezustannym krzykiem.

Gdzie ruń na brzuchu śnieżnobiała,
Poczwara słabe miejsce miała –
Psy podbechtałem, by co siły
Ostre kły w miejsce to wraziły.
Gdy dogi na potwora idą,
Sam, uzbrojony długą dzidą,
Wściekłość w arabie rozjątrzyłem
I na potwora popędziłem.
Mięśnie napinam, aż dygocą,

Aby poczwary sile sprostać,
I rzucam dzidę z taką mocą,
Jakbym chciał przebić straszną postać.

Konia, co wspina się i ciska,
Trzymam, gdy pianę toczy z pyska;
Skamłąc psy łaszą się w pół drogi –
Nie puszczam, aż przywykną dogi;
Trzeci raz księżyc się odmienia,
Gdym skończył pilne te ćwiczenia;
A gdy psy były już zawzięte,
Szybkim przewiozłem je okrętem
I powróciłem w nasze strony,
Z radością brzeg ujrzałem luby,
I nie spocząłem, utrudzony,
Aż wypełniłem święte śluby.

Bo zaraz w serce me uderza
Kraju mojego boleść świeża –
Martwych pasterzy znaleziono,
Każdy z nich miał rozdarte łono.
Więc serce za doradcę biorąc,
Natarcie obmyśliłem skoro,
Zwołałem giermków i na błonia
Doświadczonego pędzę konia;
Obok mnie rozjuszony dogi
We wściekłym gnają niepokoju,
I mkniemy tam, gdzie potwór srogi,
Tam, gdzie nie będzie świadka boju.

Znasz kościół, panie, co wysoko
Skalną wzmocniony jest opoką,
Widoczny z każdej świata strony –
Wzniósł go przed laty mistrz natchniony.
Kryje się skromnie w tej ustroni,
Ale cudowną świętość chroni:
Marii z Dzieciątkiem obraz stary –
A trzy królowie znoszą dary.
Trzydzieści stopni po trzy razy
Pątnika od tych ścian oddziela,
Ale gdy dotrze między głazy,
Krzepi go bliskość Zbawiciela.

Tam, gdzie się mgła nad skałą mota,
Jest w głębi wydrążona grotą,
Na ścianach błyszczą krople rosy,
Nie zagładają tam niebiosy.
I dniem, i nocą potwór leży,
Gotowy zawsze do grabieży –
U stóp kościółka bestia wściekła
Czyha jak smok u bramy piekła.
Gdy pielgrzym wspiął się na szczyt skały,

Potwór, stojący tam na warcie,
Na niego rzucał się zuchwały
I niósł do grotty – na pożarcie.

Na skałę twardym wchodzę krokiem,
Lecz nim wyruszę w bój ze smokiem,
Przed Zbawicielem klęknąć muszę,
Aby oczyścić z grzechów duszę,
I opasuję się żelazem
W małym kościółku przed obrazem.
I w prawą dłoń ujmuję dzidę,
I na plac boju szybko idę.
Moi giermkowie za mną w tyle –
Rozkaz rzuciłem im na progu,
Dosiadam konia, zwlekam chwilę
I duszę swą polecam Bogu.

Ledwie się znalazł na równinie,
Gdy para dogów mnie wyminie,
Lękliwie parskać koń zaczyna,
Na tylnych nogach wzwyż się wspina,
Bo w kłęb zwinięte całkiem blisko
W słońcu wygrzewa się smoczysko,
Na ciepłej ziemi koło drogi.
Rzuciły się na smoka dogi,
Lecz odskoczyły w mgnieniu oka,
Kiedy przepastne rozwarł gardło
I z płomienistej paszczy smoka
Wycie szakala się wydarło.

Ale zagrzane mym wezwaniem
Skoczyły z wściekłym ujadaniem,
Gdy w lędźwie okrutnego zwierza
Z rąk mych oszczepu cios uderza
I na kształt bezsilnego kija
Od łusk pancerza się odbija;
Lecz nim rzuciłem po raz wtóry
Oszczep – mój koń się wspiał do góry,
Spłoszony bazyliuszka wzrokiem,
Zatrutym tchem smoczego pyska,
I umknął w tył strwożonym skokiem –
W oczy mi śmierć zajrzała z bliska.

Więc zeskokczywszy z konia żwawo,
Miecza dobywam z zimną wprawą,
Lecz próżne mego miecza razy –
Smok jakby był odziany w głązy.
Nagle potężny cios ogona
Przycisnął mnie do ziemi łona.
Już widzę paszczę rozdziawioną,
Zębatym ostrzem najeżoną,
Siejącą ostrej siarki zapach,

Gdy psy dopadły jego brzucha,
Ze wyjąć przysiadł na dwu łapach –
Przestrzeń rozdarła skarga głucha.

Nim wydarł się z uchwytu zębów,
Zerwałem się wśród pary kłębow
I słabe miejsce wypatrzyłem,
I miecz aż po rękojeść wbiłem
W jelita, przytrzymując długo,
Aż krew trysnęła czarną strugą.
Smok oblewając mnie jej warem
Zwalił się, przygniótł mnie ciężarem,
Żem omdlał – w przepaść runął ciemną.
Gdy mnie zbudziła krzyków burza,
Giermkowie stali już nade mną
I martwy smok we krwi się nurza.”

Długo więziona chęć poklasku
Wybuchła huraganem wrzasku.
Gdy skończył rycerz, pod klepisko
Toczy się głosów kłębowisko
I stąd z powrotem się przewala
Z szumem i z hukiem echa fala.
To brać zakonna się upiera –
Pokazać tłumom bohatera!
Po czym uwieńczyć laurem czoło
Tego, co przyniósł ocalenie;
Lecz mistrz nakazał ciszę – wkoło
Wnet rozpostarło się milczenie.

I rzecze: „Twoja ręka skora
Kraj uwolniła od potwora,
Lud w tobie widzi swego boga,
Lecz Zakon ciebie ma za wroga,
Bo robak serce twoje toczy,
Bardziej zjadliwy niż jad smoczy.
Ten wąż, co w serce wkradł się młode,
Zgniliznę siejąc i niezgodę,
Zrywa porządku związek święty,
Krnąbrnością swoją Złemu służy –
Oto przekory duch przekłęty,
Co ład obala, światy burzy.

Mameluk także wie, co męstwo,
Chrześcijan cnotą – posłuszeństwo;
Bo gdzie Zbawiciel w swej wielkości
Żył biednie, jako ludzie prości,
Tam w objawienia świętej chwili
Ojcowie Zakon założyli;
Aby łagodzić ludzką dołę
I wybują ją kielzać wolę.
Pogoń za sławą – zła, nieczysta.

Zejdź z oczu! Pycha cię poniża.
Bo kto nie nosi jarzma Chrysta,
Ten nie jest godzien jego krzyża.”

Wtem gwar się zerwał niesłychany,
Zachwiały się od burzy ściany.
O łaskę proszą liczne głosy –
Bije potężny krzyk w niebiosy.
Młodzian w milczeniu zdjął sukienkę,
Całuje srogą mistrza rękę.
Chce odejść. Spojrzał mistrz surowy
I tymi go powstrzymał słowy:
„W ramiona chodź starszego brata –
Dobrześ zachował się w potrzebie.
Przyjm ten krzyż. Oto jest zapłata
Za to, żeś przewyciężył siebie.”

1798

Przełożył
Leopold Lewin

ŚWIĘTO ELEUZYJSKIE

Wijcie ze złotych kłosów wieńce,
Błękitne goryczki wplatajcie do kłosów!
Radość niech w oczach zaświeci gorącej,
Bowiem królowa schodzi z niebiosów,
Poskromicielka dzikich zwyczajów plemienia,
Która czyni człowieka człowiekowi bratem
I koczownicze namioty zamienia
W nieruchome, spokojne chaty.

Trwożnie w górskiej rozpadlinie
Troglodyta krył się w lasach,
I nomada na pustynie
Trawy bujnych łąk wypasał.
Z włócznią, z łukiem kraj przemierzał
Łowca, biada rozbitkowi,
Gdy dzika skała wybrzeża
Z fal wzburzonych go wyłowi!

I pozdrawia na swej ścieżce
Błądząc córki milej śladem
Ceres to pustynne miejsce,
Ach, tu kwiat nie kwitnie żaden!
I żadnego tu schronienia,
Aby mogła żyć bezpiecznie,
Ni świątyni dla uczczenia
Bóstwa wśród pustyni wietrznej.

Nie ugości jej po żniwach
Z kłosów słodkich uczta święta,
Na ołtarzach przeraźliwych
Kości ludzkich garść wyschnięta.
Wszędzie, dokądkolwiek ruszy,
Ten sam widok na nią czeka,
Opłakuje w wielkiej duszy
Nędzę, upadek człowieka.

„Takim znowu jest ów człowiek,
Co go z naszych pierwowzorów
Olimp w piękne kształty oblekł,
Jaśniejące wśród przestworów?
Czyliśmy nie dali jemu
Boskiej Ziemi w posiadanie,
Lecz on tuła się bez ziemi,
Tu, gdzie jego królowanie?

Nie zlituj się niebianie
Ani nikt z błogosławionych
Nie wyniesie go z otchłani

Hańby na cudu ramionach?
Tam na rajskiej wysokości
Cudzy ból ich nie poruszy?
Lecz ja lęk i żal ludzkości
Czuję w udreżonej duszy.

By się człowiek stał człowiekiem,
Niech zawrze nowe przymierze
Z ziemi zbożnej wszelkim wiekiem,
Z łonem matki, w ufnej wierze.
Niech czci prawo tysięcy,
Święty bieg księżyców w górze,
Co obrotem równym świeci
W harmonijnym planet chórze.”

Wtem – rozdziela mgły zasłone,
Która oczom ją przesłania,
I wśród tłuszczy upojonej
Boski obraz się wyłania.
Wśród zwycięskich biesiadników
Milczy, otoczona zgrają,
Gdy jej w ofierze, wśród krzyków,
Czasę pełną krwi podają.

Lecz odwraca się ze wstrętem
I ze zgrozą w twarzy bladej,
Mówiąc: „Boga wargi święte
Nie tkną tygryskiej biesiady.
On chce mieć czyste ofiary,
Owoce, płody jesieni,
Ziemi pobożnymi dary
Chcą być bogowie uczczeni.”

I ciężki oszczep morderczy
Bierze z myśliwego ręki,
I drzewcem narzędzia śmierci
Żłobi brudę w piasku miękkim.
I z wieńca swego wyjmuje
Życiodajne ziarno, wsiewa
W ziemię, w głąb szczeliny czulej,
I nasienie w niej nabrzmiewa.

I natychmiast ziemię wokół
Ozdabiają źdźbła zieleni,
Wszędzie, dokąd sięga oko,
Las się falą złota mieni.
Błogosławiąc uśmiechami
Ziemi, snop wiązuje z kłosów,
Bierze do ogniska kamień
I mówi córka niebiosów:

„Ojcze Zeusie, co w eterze
Królujesz bogów rodzinie,
Uczyń znak, żeś rad ofierze,
Niechaj ręka twoja skinie!
I nieszczęsnemu ludowi,
Któremu twa moc nie znana,
Oczy z obłoku rozpowij,
Aby uznał w tobie Pana!”

I słyszy błaganie siostry
Na wysokim swym siedzisku
Zeus i z niebios rzuca ostry
Piorun o zębatym błysku.
Zakłębiło się i z trzaskiem
Z ołtarza ku niebu dąży,
A tam ozłocony blaskiem
Orzeł w lotnych kręgach krąży.

I wzruszona do nóg królowej
Dzika ciżba tłoczy się radośnie,
I topnieją te dusze surowe
W pierwszych uczuć człowieczych wiośnie.
Odrzucają krwawe włócznie i łuki,
Otwierają dusz posępne ciemnice
I przyjmują boskie nauki
Z ust władczyni jasności.

I zstępują ze swych siedzisk
Wszystkie bóstwa w nieba blasku,
Sama Themis taniec wiedzie
I swą sprawiedliwą laską
Każdemu prawa odmierza
I kamieniem odgranicza,
I wzywa na świadka przymierza
Styksu moc tajemniczą.

I bóg kuźni zstąpić raczy,
Zeusa pomysłowy syn,
Twórca pięknokształtnych naczyń
Ze spiżu i różnych glin.
Uczy używać obcęarów,
Dmie w kowalski miech jak w róg,
Pod jego młota potęgą
Powstaje pierwszy pług.

Ponad wszystkich wznosząc ramię,
Pallas dzidą z ciężkim ciosem
Władą nad bogów wojskami,
Rozkazuje gromkim głosem.
Chce zbudować mury, wieże,
Wszystkim być tarczą obrony,

Połączyć w ufne przymierze
Świat rozbity, rozproszony.

I kieruje boskie kroki
Na pola, którymi włada,
I wnet do jej nóg wysokich
Bóg granicznych miedz przypada.
Ona łańcuchami ściska
Krawędź zielonego wzgórza,
Także dzikich rzek łożyska
W poświęcony okrąg wnurza.

Wszystkie nimfy, oready,
Co za szybką Artemidą
Trzęsąc włóczniami w jej ślady
Krętą ścieżką górską idą,
Wszystkie schodzą się wśród borów,
Krzyk się wzbija nad parowy,
I pod ciosem ich toporów
Z trzaskiem pada las świerkowy.

I z zielonej wstaje fali
Bóg, co go wieńczy sitowie,
I spław ciężki toczy z dali
Na rozkaz władczej królowej,
I poddają się rzemiosłu
Chwile, co mijały lekko,
I pnie, co surowo rosły,
Okrągłej pod jej ręką.

Śpieszy bóg znad mórz błękitu
I ciosem swego trójzębu
Potężne słupy granitu
Wyłamuje z ziemskiej głębi.
I rękami waligóry
Rzuca je od piłek wyżej,
I wysoko spiętrza mury
Wraz z Hermesem, gońcem chyżym.

Lecz Apollo ze strun złotych
Wywodzi pełnię harmonii,
Miara czasów, wdzięk prostoty
I moc melodyjna dzwoni.
I z dziewięciostrunnym śpiewem
Łączą swe głosy Kameny,
I cicho z pieśni odzewem
Kamień spaja się z kamieniem.

Osadza skrzydło po skrzydle
W bramach ręką doświadczoną
Cybela – i wbija rygle,
I skuwa zamki i brony.

I wnet cud jest dokonany,
Budowla na fundamentach,
I wesołe świątyń ściany
Jaśnieją w przepychu święta.

A potem z mirtowym wieńcem
Królowa bogów pośpiesza
Ku najpiękniejszej pasterce
Najpiękniejszego pasterza
Wiodąc, wieńczy młodą parę
Wenus z chłopcem uskrzydlonym,
Wszystkie bóstwa znoszą dary
Błogosławiąc zaślubionym.

I nowi obywatele
Prowadzeni przez chór bogów
W dźwięku niebiańskiej kapeli
Wchodzą do gościnnych progów.
Ceres, dając wzór kapłanom,
Tu przed ołtarzem Zeusowym
Błogosławi rękami związanym
I takim odzywa się słowem:

„Wolność kocha zwierz pustyni,
Wolny wzłata bóg nad chmury,
Żądze posłusznymi czyni
Niezlomne prawo Natury.
Człowiek, co w jej środku staje,
Niech się zbliży do człowieka,
Tylko tym, co czczą zwyczaj,
Wolność i siłę przyrzeka.”

Wijcie ze złotych kłosów wieńce,
Błękitne goryczki wplatajcie do kłosów!
Radość niech w oczach zaświeci gorącej,
Bowie królowa zeszła z niebiosów,
Która nam słodką ojczyznę dała,
By człowiek widział w człowieku brata,
Niech w naszej pieśni zabrmi jej chwała,
Darzącej szczęściem Matki świata.

1798

Przełożył
Mieczysław Jastrun

SMUTNA DZIEWCZYNA

Szumi dębina,
A chmury w biegu,
Siedzi dziewczyna
U rzeki brzegu,
Fala się łamie i falę popycha,
Ona w noc czarną wzdycha i wzdycha,
A twarz ma smutno spłakaną.

„Serce mi zmarło,
Pusty mój świat,
Życie wydarło
Mych pragnień kwiat.
Weź swoje dziecko, weź tam, o święta!
Wiem, co rozkoszy ziemskiej ponęta,
Żyłam i byłam kochaną.” –

Ni płaczu zdrojem
Serce ostudzisz;
Ni żalem swoim
Z grobu go zbudzisz.
Mów, co pocieszyć może w niedoli
Po stracie szczęścia serce, gdy boli?
To ci, śmiertelna, przeznaczę. –

„Ni płaczu zdrojem
Serce ostudzę
Ni żalem swoim
Z grobu go zbudzę;
Pociecha moja w mojej niedoli,
Po stracie szczęścia, gdy serce boli,
Kiedy się żalę i płaczę.”

1798

Przełożył
Adam Gorczyński

NENIA

I piękność ginąć musi; ludzi, niebian wzruszy,
Nie tknie spżowej Zewsa stygijskiego duszy.
Raz to tylko zmięczyła miłość cieni boga,
A i wtenczas, surowy, cofnął dar ze proga.
Nie zamknie Afrodytę młodzieńcowi rany,
Gdzie kłem w nadobnym ciele tkwił dzik rozhukany.
I wieczna matka syna zbawić nie pobiegnie,
Gdy ten, pełniąc wyroki, w skiejskiej bramie legnie;
Lecz wstanie ona z morza, z nią Nereja córy,
Ubóstwią bohatera ich żalodne chóry.
Patrz! bogi wszystkie płaczą, i płaczą boginie,
Że to, co piękne, mija, że co wielkie, ginie.
Pyszna jest, w lubych uściech być żalobnym pieniem,
Bo co jest pospolite, chłonie Ork z milczeniem!

1799

Przełożył
Józef Dionizy Minasowicz

PIEŚŃ O DZWONIE

– *Vivos voco, mortuos plango, fulgura frango.*

Mocno z gliny wypalony
Stoi w ziemi formy gład:
Dziś być musi dzwon skończony;
Nuże, bracia, dalej wraz!
Jak gorący źródło
Pociec musi znój...
Gdy ma mistrz swym dziełem słynać,
Łaska z góry musi płynąć.

Przy takim, jak to, ważnym dziele
Poważnych również trzeba słów
I dobrych mów potrzeba wiele,
A praca rażno pójdzie znów.
Tak teraz pilnie oglądajmy,
Co spod sił ludzkich wyszło mdłych,
A złym człowiekiem pogardzajmy,
Co nie rozważa czynów swych.
To właśnie jest, co człeka zdobi,
Na co mu rozum daje wzór,
Że w głębi serca wprzód sposobi,
Co mu z rąk wyjść ma jako twór.

Weźcie drzewa z świerku pienia,
Lecz to suche musi być,
By ściśnięty żar płomienia
Mógł z tym większą siłą bić!
Lejcie miedzi płyn
Do cynkowych rynn,
Aby spiżu masa płynna
Tam płynęła, gdzie powinna.

Co dłoń dobywa w tajemnicy
Z pomocą ognia z ziemskich łon,
O tym wysoko na wieżycy
W głos wkrótce będzie świadczył dzwon.
I będzie wzruszał dźwięki swymi
Człowiecze ucho w późne dnie,
Będzie się skarżył wraz z smutnymi,
Wraz z pobożnymi modlił się.
Co tu na dole ziemskim synom
Przeznaczeń zmienny niesie los,
To w górze dźwięków wnet krainą
Poniesie dalej dzwonów głos.

Skaczą bańki i ciecz pryska
Pod wewnętrznym wrzeniem par.

Wrzućcie sole do ogniska,
To ostudzi prędko war...
Ciecz się musi szklić
I bez piany być,
Aby metal oczyszczony
Czyste, pełne wydał tony.

Dźwiękiem wesela wita dziecię,
Gdy pierwszy raz podniesie wzrok
I pierwszy w życiu i na świecie
W objęciach snu chce stawić krok:
Przed nim złożone w czasów urnę
Śpią losy jasne albo chmurne,
A serce matki bez przestanku
Strzeże złotego jego ranku –
Szybko za rokiem leci rok...
W bój życia wpada dzikie chłopię,
Dumnie uszedłszy dziewcząt łzom,
Przez świat dla siebie drogę kopie
I wraca obcy w ojców dom;
I tutaj widzi jaśniejącą,
Jak posąg, który z nieba spadł
Z twarzą rumieńcem róż płonąca,
Dziewicę w pełni młodych lat.
Bezbrzeżna chwyta go tęsknica,
Serce przejmuje słodki czar.
Łzami zroszone kryje lica,
Skąd dzikich zabaw słyszy gwar.
Zmieszany śledzi błysk jej szaty,
Jej słowa już mu szczęściem są
I najpiękniejsze zbiera kwiaty,
By nimi zdobić miłość swą.
Błoga tęsknoto i nadziejo!
Pierwszej miłości złote dni!
Otwarte nieba wam się śmieją,
Szczęście i rozkosz serce śni –
O, obyś wiecznie w pełnej krasie
Kwitnął miłości młodej czasie!

Ot już brunatnieją ciecze:
Więc tę płytkę wewnątrz włóż,
Gdy się szklistą rdzą oblecze
Czas do lania nadszedł już.
Teraz bracia wraz
Badać dobroć mas!
Gdy stopione kruszców części
Znak to, że się nam poszczęści.

Bo gdzie powaga z łagodnością
I siła łączy się z tkliwością,
Tam akord zgodny wyda dźwięk.
Więc, gdy o związek wieczny chodzi,

Patrz, czy się serce z sercem zgodzi!
Szału jest chwila, żalu wiek.
W oblubienic wpięte włosy
Świecą wianki mile tak,
Gdy kościelnych dzwonów głosy
Uroczysty dadzą znak.
Lecz, ach! z życia tą koroną
Życia maj się skończyć miał,
Wraz z przepaską i zasłoną
Pęka także piękny szał.

Choć żar uczuć zbladł,
Niech miłość zostanie,
Wszak choć okwitł kwiat,
W owocu jest trwanie;
Wytrwać musi mąż
W ciągłej z życiem wojnie
I z trudem i znojnem
Zasadzać i tworzyć,
Borykać się, korzyć,
Nie ustać wśród drogi,
By los ubiec wrogi.

Toż płyną mu zewsząd owoce i dary,
Napełnia się spichlerz skarbami bez miary,
Miejsc nowych potrzeba i dom rośnie wciąż.

W domu się krząta
Troskliwa gosposia
Poważnie i skromnie,
Jak przystoi żonie
W rodzinnym jej gronie.
I uczy dziewczęta,
I czuwa nad chłopcem,
I mądrze wciąż włada,
A rąk nie zakłada.
Gdzie jej oka błysk
Padł... już rośnie zysk.

Napełnia skarbami swe składy pachnące,
To w rękę obraca wrzeczono furczące
Lub w skrzyni gładzonej układa po brzeg
Wełny zapas lśniący i płótna, jak śnieg.
I łączy z pożytkiem blask i upiększanie
Niez mordowanie.

Weselem błyszczą ojca wzrok,
Gdy, stanąwszy na wyniosłym ganku,
Patrzy na szczęście swe co krok:
I widzi stogów sterczące koły,
Napełnione po szczyt stodoły
I spichlerzy wypiętrzone sale,

Rozkołysane łańców fale.
Dumnie się chelpi tem:
Mocno, jak trwałość ziem,
Choćby spadł nieszczęść grom,
Stoi mój dumny dom.
Lecz z przeznaczeń czarną władzą
Związki zawrzeć się nie dadzą,
A nieszczęścia szybki krok.

Ot! już kruszce razem w płynie,
Już do lania nadszedł czas,
Lecz nim masa w formę spłynie,
Wpierw modlitwę zmówmy wraz!
 Czop z otworu bierz! –
 Boże domu strzeż!
Ciecz spływając do łożyska
Strzela dymem, ogniem błyska.

I w ogniu leży dobry czyn,
Gdy nad nim czuwa ludzki syn;
Cokolwiek czyni i co tworzy,
Zawdzięcza owej sile Bożej.
Lecz straszną bywa ta potęga,
Kiedy się z więzów swych rozprzęga,
Gdy wolna w własny wkroczy ślad
I dziko burzy wszelki ład.
Biada! gdy poza granice
Niewstrzymana już wybieży
I przez ludne miast ulice,
Rozszalała, pożar szerzy.
Bo żywioł zawiścią nęka
To, co stworzy ludzka ręka.

Z chmury każe
Łaska tkliwa
Spływać dżdżom:
Z chmury także
Się wrywa
Straszny grom.
Co tam w wieży jęczy tak?
To burzy znak.
Krwawy blask
Skrył niebiosy,
O, to nie jest ranku brzask!
Co to za głosy!
Przy domu tym
Kłębi się dym!
Z sykiem ognia słup wytryska,
Przez ulicę leci, błyska
I płomieniem krwawym ciska.
Powietrze, jakby piec wielki,
Żarem bucha, trzeszcza belki,

Lecą słupy, okna brzęczą,
Kwilą dzieci, matki jęczą.
Bydło głośno ryczy z trwogi
Wśród pożogi.
Wszystko pełne przerażenia.
Noc się w jasny dzień przemienia,
Utworzonym z rąk łańcuchem,
Szybkim ruchem
Leci wiadro; łukiem bieży
Z beczek wody potok świeży.
Z wyciem wichur pędzi z wieży,
Zlany z ogniem w jeden ton
Poprzez krokwie w dach uderza,
Z dachu wpada do spichlerza
Z sykiem trawiąc suchy płon.
I jak gdyby rozszalała
Chciała nagle ziemski pień
Zniszczyć, stoczyć, aż po rdzeń
Ku niebiosom się rozlała
I błękit zbladł –
A człowiek padł
U stóp strasznej siły Bożej
I z rozpaczą jej się korzy,
Razem dziwi się i trwoży.

Nad szerniałą
Kupą zgliszczy
Wicher tylko dziko świszczy.
W pustych oknach z jękiem siada
Duch rozpaczy...
Czasem orszak chmur tułaczy
Z góry spojrzy.
Biedny człowiek
Jeszcze jedno śle spojrzenie
Na zmarniałe swoje mienie
I z niestartą łzą u powiek
Za wędrowny kij uchwyta:
Przyszłość już nadzieją wita.
Choć pracy jego zniknął znak,
Ileż zostało mu słodczy?
Wzruszony głowy drogich liczy
I oto żadnej mu nie brak!

Ot! już forma wypełniona,
Zanurzymy ją w ziemi chłód!
Lecz, gdy wyjdzie dzwon z jej łona,
Czyż nam spłaci znojny trud?
Może spiż nas zdradzić
I formę rozsadzić.
Często, choć nieszczęście czyha,
Nam nadzieja się uśmiecha.

Ciemnemu świętej ziemi łonu
Oddajem ufnie przyszły dzwon,
Powierza rolnik skromny plon,
W nadziei obfitszego plonu
Łaski z niebieskich czeka stron.
Lecz kosztowniejsze jeszcze ziarna
Kładziemy smutni w chłodny grób
Z wiarą, że prochu garstka marna
Zakwitnie znów spod trumny stóp.
 Głucho z tumu
 Jęczy dzwon,
 Śpiew to smutny
 Ludzki zgon.
 Płyną ciężko te grobowe dźwięki
 Smutnej zwrotki, ostatniej piosenki.

Ach! to była żona wierna,
Ach! to wierna była matka,
Którą czarnych książąt władza
Z objęć męża uprowadza,
Z jej małych dziątek gromadki,
Co jak delikatne kwiatki
Na jej ciepłym łonie rosły:
Tyle szczęścia z sobą nosły!
Tkliwe związki w cichym raju
Już na wieki zerwał zgon,
Bo ta mieszka w cieniów kraju,
Co dzierżyła matki tron.
Bo już zgasły wierne oczy
I jej troska, i jej trud:
Grono sierot wnet otoczy
Macoszego serca chłód.

Teraz, nim się dzwon oziebi,
Może spocząć każdy z was,
Jak ptak wolny w leśnej głębi
Tak swobodnie spędzić czas.
 Z błyskiem nocnych zórz
 Chłopcy wolni już
 Anioł Pański odmówili;
 Lecz mistrz nie ma wolnej chwili.
W borze pełni tęsknej troski
Przyspieszają krok wędrowce,
Do ojczystej dążąc wioski.
Becząc ciągną liczne owce;
W ślad za nimi
Pięknych krów i wołów stada.
Wszystko z rykiem
Do znajomych obór wpada.
Pełen zboża
Wjeżdża potem
Wóz z łoskotem.

W snopach leży
Barwny, świeży
Wieniec z niw,
Z młodych żeńców grona bieży
W tan kto żyw.

Wnet ucisza się w ulicy.
Razem z ognisk jasnym blaskiem
Gromadzą się domownicy –
Brama w zamek wpada z trzaskiem.

Czarne cienie
Skryły ziemię,
Lecz spokojnie rolnik drzemie
W nocny mrok,
Co zbrodnicze budzi plemię –
Bo go strzeże prawa czujny wzrok.

Wzniosła władza, ta bogata
Córa niebios, która splata
Równe z równym tak radośnie,
Na której miast ogrom rośnie,
Co przez pola i wśród puszczy
Niosła ludzkość dzikiej łąszczy,
Wstępowała pod zagrody
Ucząc wiary, pracy, zgody
I wszczepiała święty zaród:
Czcic kraj ojców, kochać naród!

Widać ruchy rąk tysiąca,
Gdzie pracuje pilny lud,
Sił dobywa pierś płonąca:
Wspólna praca, jeden trud!
Z mistrzem wraz się czeladź spieszy
Pod opieką wolnych praw;
Każdy miejscem swym się cieszy,
Drwiąc z próżniaków i ich spraw.
Ozdobą obywatela
Praca, w pracy źródło łask;
Królom godność czci udziela,
Nam dłoń pilna daje blask.

Cny pokoju!
Słodka zgodo!
Przebywajcie
Długo, zawsze w mieście tym!
Oby nigdy dzień nie nadszedł,
W którym srogich walk swawola
Spustoszy te ciche pola.
Kiedy niebo,
Co zórz nocnych i wieczorów
Chwyta czar,

Od płomieni wiejskich dworów,
Miastr palonych straszny zar!

Teraz niech się w proch rozleci
Ściskający spiżę wzór,
W sercu, w oku radość wznieci,
Gdy nam piękny wyda twór.
Niech swój ciężki lot
W płaszcz skieruje młot!
Bo nim dzwon się wyjść pokusi,
Formę najpierw strzaskać musi.

W stosownym czasie mistrz wyrokiem
Mądrym rozbija formę sam.
Biada! gdy spiż ogni potokiem
Sam się uwalnia z władzy tam.
Z siłą piorunu ślepa, wściekła
Rozsadza wnet pęknięty dom,
Jakby rozwarło paszczę piekło,
Miotając wkoło zguby grom.
Zwierzęcych sił bezmyślna władza
Lepszego losu nie sprowadza,
Gdy sobie naród wolność skradł,
Wnet dobrobytu znika ślad.

Biada! gdy cicho zgromadzany
Materiał palny gotów już
I lud, targając swe kajdany,
W własnej obronie chwyta nóż.
Kiedy bunt szarpnie sznury dzwonów,
Słysząc w ich biciu wycie hord
I miast pokoju świętych tonów
Hasło straszliwe: Krew i mord!
„Wolność i równość”! zewsząd płynie,
Cichy mieszczanin chwyta broń,
Ulice pełne i świątynie,
I band oprawców pełna błoń
Kobiety stają się hienami,
Igrają z grozą, z śmiechem mrą
I jeszcze drżące panter kłami
Nieprzyjaciela serce drą.
Nic nie jest świętym, rozwiązuje
Się wszelki związek, wszelki wstyd
I dobre złemu ustępuje:
Występek z zbrodnią dzierżą szczyt.
Choć niebezpiecznym jest lew w złości,
Zgubne tygrysa ostre kły,
Lecz najstraszniejszą z okropności
Jest w dzikim szale człowiek zły.
Biada tym! którzy cienie chwałą,
I chcą je ubrać w blaski gwiazd,

Bo te nie świecą, tylko palą,
Proch zostawiają z wsi i miast.

Bóg zgotował nam nagrodę:
Wśród gwiazdzistych, jasnych lśnień,
Jak z łuszczyzny ziarno młode
Metalowy wyszedł rdzeń.
 Od brzegu po strop
 Świateł wykwitł snop.
 A na tarczy herb się błyszczy,
 Doświadczonych chwaląc mistrzy.

A teraz tu
Utwórzcie, bracia, razem koło:
Musimy ochrzcić dzwon wesoło,
Imię „Concordia” damy mu.
Niech głosi zgodę, cnotę, obowiązek
I stworzy w gminie serc i duchów związek,

I niechaj nadal głosi to,
Do czego mistrz przeznaczył go.
W górze nad niskim, ziemskim życiem
Wejdzie w błękitny nieba szmat,
Piorunom zawtóruje biciem,
W świetlany gwiazd spoglądnie świat.
I będzie nutą nieb proroczą,
Jak ów systemów jasny tok,
Co chwaląc Stwórcę w wieczność kroczą,
I uwieczniony wiodą rok.
Tylko czymś wiecznym i poważnym
Wymowny kruszec niechaj brzmi
I ciągle skrzydłem swym odważnym
Dotyka w locie szybkich dni.
Niechaj przebudzi los z niemoty –
Choć sam bez serca i bez łez,
Niech towarzyszą jego loty
Życiu ziemskiemu aż po kres.
A jak bez śladu dźwięk przechodzi,
Co ze spiżowych wyszedł łon,
Tak wszystko mara, wszystko zwodzi,
Wszystko, co ziemskie, kończy zgon.

Teraz mocno ciągnie sznury!
Niech dzwon silna wzniesie dłoń
W państwo dźwięków, tam do góry
W lazurowych sferę błoń.
 Razem! razem! nuż!...
 Drgnął, zawisnął już –
 Dźwiękiem jego pierś drga młoda;
 Pokój miastu, pokój, zgoda!

1799

Przełożył
Bogusław Butrymowicz

POCZĄTEK NOWEGO STULECIA

Przyjacielu zacny! gdzie na świecie
Cicha ustron wolności, pokoju?
Wiek przeminął wśród burzy i w boju,
A mord – nowe otwiera stulecie.

Oto związek krajów rozerwany,
Stare formy padają w ruiny,
Wojny nie wstrzymają oceany
Ni bóg Nilu, ni Renu głębiny.

Dwa potężne narody się zwały
O wyłączne nad światem władanie,
Ludom grożąc zachłannymi gardły
Wznoszą trójząb i gromu błyskanie.

Każdy kraj dla nich złoto swe waży,
I jak Brennus w surowej przeszłości –
Francuz kładzie wśród świata mocarzy
Miecz na wagach sprawiedliwości.

Już na morza Brytyjczyk niesyty
Każe flotom handlowym wypłynąć,
By królestwo wolnej Amfitryty
Ramionami polipa owinąć.

Do bieguna gwiazd południowego
W przestrzeń rzuca go pęd niewstrzymany,
Ku pustyniom, ku wyspom, ku brzegom
Mórz. Nie znajdzie Ziemi Obiecanej.

Ach , na próżno nad mapą schylony,
Szukasz błogosławionego kraju,
Gdzie wolności kwitnie sad zielony,
Gdzie ludzkości młodość w wiecznym maju.

Nieskończony świat przed tobą leży,
Wielki nawet dla statków cierpliwych,
Ale nie ma wśród jego bezbrzeży
Miejsca – dla dziesięciu szczęśliwych.

Musisz uciec od nacisku zdarzeń
W cichą serca twojego świątynię:
Wolność jest jedynie w kraju marzeń,
Piękno w pieśni zakwita jedynie.

1801

Przełożył
Mieczysław Jastrun

PIOSENKA O PONCZU

Czterech żywiołów
Wewnętrzny ład
Kształtuje życie,
Buduje świat.

Musisz gwiaździstą
Cytrynę zgnieść,
Cierpka jest życia
Najgłębsza treść.

Zalej łagodnym
Syropem tak,
Byś zmienił cierpki,
Pałący smak.

Lej teraz wody
Pienisty kłęb,
Spokojnie woda
Przeniknie w głąb.

Więc krople d u c h a
Lej aż do dna,
Bo życie życiu
Duch tylko da.

Nim woń uleci,
Kompanię pój,
Krzepi nas tylko
Płonący źródój.

1802

Przełożył
Adolf Sowiński

GRAF HABSBURG

W Akwizgranie w zamkowych komnatach
Namaszczalna cesarska biesiada,
Cesarz Rudolf w obrzędnych swych szatach
Tron wzniesiony u stołu zasiada.
 Falcgraf reński na złocie mu kraje,
 Puchar z winem król czeski podaje;
Wszyscy siedmiu wyborcy cesarza,
 Jak w krąg słońca chód planet niebieskich,
 W złotych mitrach, w purpurach królewskich,
Stoją kołem przy tronie mocarza.

I z dziedziców, z krużganków pałacu,
Z dźwiękiem muzyk jak grom nieprzerwany
Okrzyk tłumów skupionych na placu
Bije echem o okna i ściany:
 Bo przeminął czas klęsk i swawoli,
 Pychy możnych, a ludu niewoli,
Pan i sędzia jest znowu na ziemi,
 Nie śmie szaleć bezkarnie gwałt zbrojny,
 Nie drży słaby, zaufał spokojny,
Ze jest moc i opieka nad niemi.

Cesarz puchar do góry wznosił złoty
I powłócząc w krąg okiem radości:
„Nic tu nie brak do naszej ochoty,
Wśród takich i uczy, i gości.
 Lecz nie widzę śpiewaka – minstrela,
 Pieśń natchniona jest duszą wesela,
I duch wyższy na serce z niej wionie:
 Cześć mą dla niej wysałem już z mlekiem,
 A com czuł będąc prostym człowiekiem,
Czuć i uczcić potrafię na tronie!”

Ledwie skończył, gdy z tłumy rycerzy
Wyszedł mąż, z białym włosom na skroni,
W długiej, na kształt zakonnej, odzieży,
Złotą arfę trzymając we dłoni.
 „W strunach arfy jest cały świat ducha,
 W miarę tego, kto śpiewa, kto słucha,
Jak pieśń wieszczą pojmuje lub stwarza;
 Wiem, co duszę podnosi i krzepi.
 Lecz ty, panie, sam powiedz najlepiej,
Co jest godne słuchacza – cesarza?”

Na to cesarz z łagodnym wejrzeniem:
„O, na taką się pychę nie ważę!
Wyższy Pan rządzi wieszczą natchnieniem,
Co mu samo i cel swój pokaże.

Bo jak wicher na morskim rozlewie,
Skąd i dokąd ma zawiać, nikt nie wie,
Jako woda z swych źródeł podziemnych
Tak pieśń wieszczka wynika mu z duszy,
Aż ją porwie za sobą i wzruszy
Czucia śpiące w jej głębiach tajemnych.”

Z oczu starca jak światło wypadło
I strun dźwięki zmieszały się z słowy:
„Przez szwajcarską dolinę zapadła
Możny graf jechał konno na łowy.
Dzielny koń niecierpliwym poskokiem
Sadził w cwał ponad wzdętym potokiem
Na dźwięk trąbki już grzmiącej śród boru.
Wtem głos dzwonka się rozlał rozłogiem:
Był to kapłan, co szedł z Panem Bogiem,
Poprzedzany przez chłopię od chóru.

Rycerz z wiarą i czcią chrześcijańską
Skoczył z konia i ugiął kolano,
Wielbiąc ciało i świętą krew Pańską
Dla zbawienia naszego wylaną.
Ksiądz tymczasem nad brzegiem strumienia
Zrzucił buty i zwierzchnie odzienia,
By w bród łatwiej mógł na brzeg przejść drugi.
Bo most woda zerwała przed sobą,
A tam grzesznik złożony chorobą
Czekał jego ostatniej posługi.

A wtem rycerz postąpił ku niemu,
Sam mu konia za cugle prowadzi,
Zmusza na nim nieść pomoc choremu,
Trzyma strzemię, na siodło go sadzi,
A sam pieszo zapuszcza się dalej.
Kapłan przebył bezpiecznie nurt fali
Błogosławiąc rycerza po drodze.
I nazajutrz o wschodzie jutrzeńki
Do bram zamku z winnymi podziękami
Odwiódł konia, trzymając za wodze.

Ale rycerz powitał go słowy:
«Strzeż mię, Boże! bym kiedy dla siebie
Użył konia na boje lub łowy,
Co niósł Zbawcę i Pana na niebie.
Gdy być twoją własnością nie może,
Niech zostanie przy waszym klasztorze
Na pobożne zakonu posługi.
Bogu memu w ofierze go składam,
Bo od Niego, co tylko posiadam,
Dzierżę z łaski, nie z własnej zasługi.»

«Niech Pan, który widzi w skrytości,
Dar twój tobie odplaci w swej porze!
Niech cię sławi i tu, i w wieczności,
Jakoś ty Mu hołd oddał w pokorze!
 Tyś graf możny w szwajcarskiej krainie,
 Dom twój z cnót i hojności w niej słynie,
Sześć cór kwitnie w nim pięknych i skromnych,
 Niechże każda – rzekł kapłan w natchnieniu –
 Wniesie berło twojemu plemieniu,
Ród twój wsławi u wieków potomnych!»»

Cesarz słuchał i dumał głęboko,
Jakby dawne obudzał wspomnienie.
Wtem na starca iskrzące wznosił oko
I z ócz jego słów pojął znaczenie.
 Był to kapłan spotkany przed laty...
 Cesarz krajem obrzędnej swej szaty
Zakrył śpiesznie łez rzewnych potoki.
 Lecz pojęto w orszaku cesarskim,
 Ze to on był tym grafem szwajcarskim,
I niebieskie wielbiono wyroki.¹

Przełożył

Antoni Edward Odyniec

¹ Tschudi, który przekazał nam tę anegdotę, opowiada też, że ksiądz ów, którego wspomógł graf Habsburg, został później kapłanem kurfirsta Moguncji i niemało przyczynił się do tego, by przy najbliższych wyborach cesarza, które nastąpiły na wielkie interregnum, skierować uwagę kurfirsta na grafę Habsburga. Dla tych, którzy znają historię tej epoki, zaznaczam, że Czechy nie brały oczywiście udziału w uroczystości koronacyjnej Rudolfa. (Przypis Schillera)

PIELGRZYM

Jeszcze z pierwszą wiosny doba
Jam odbieżał w obce światy,
Płasy dziecka poza sobą
Rzucił z progiem ojców chaty.

Rzucił mienie, dział rodzinny,
I w duszy z wiarą radosną,
W ręku z kijem – gdzieś – w świat inny
Pogoniłem za swą wiosną.

Bo mię wabił głos nadziei.
Wiara jakby słowem mglistym:
Bieź! wołała – w ślad kolei
Za tym słońcem promienistym.

Do bram złotych zdrażaj śmiało!
A gdy dojdiesz, wnijdź w podwoje:
Tam niebo na wieczność całą
Znieśmiertelni ziemskość twoję! –

Biegłem wieczór, biegłem świtem,
Nie spocząłem ni na chwilę;
Lecz mi zawsze było skrytem,
Com tak szukał, pragnął tyle.

Góry bieg mi tamowały,
Potok stawał mi na drodze:
Ścieżyną pnę się na skały
Lub po kładce toń przechodzę.

Nad urwiskiem wreszcie staję,
Kędy rzeka na wschód płynie.
Szczęsny, los swój prądom zdaję,
Zanurzam się w wód głębinie.

W przestwór mórz bez dna i brzega
Unosi mię fala chyża;
Tu znów pustka świat zalega,
A do celu mnie nie zbliża.

Ach! bo próżno za nim gonić,
Ach! to niebo ponade mną
Nie chce się ku ziemi skłonić:
Tu go szukać – nadaremno.

1803

Przełożył
Konstanty Goniewski

GODY ZWYCIĘZCÓW

Pusta Troi okolica,
W proch Priamów zburzon gród,
Lecz zwycięzców chmurne lica
Na żegludze pośród wód
Rozjaśniło czucie wrzące:
Bo, radośni, widzą już
Rozpiętrzone, zieleniące
Swe helleńskie brzegi wzdłuż.
„Niech radosna pieśń zadzwoni,
Bo ojczysty blisko dom
I ku niemu rażno mkną
Nasze nawy po wód toni!”

Na okrętach tłumne grona.
Oto branek drżących lik
Kwili, tłucze białe łona,
W bólach serca szerzy krzyk:
Szlochająca we łzach rzesza
Do szumiących głucho fal,
Do radosnej pieśni miesza
Poojczysty rzewny żal:
„Bądź nam zdrowa, ziemio droga!
My z rodzinnych, lubych chat!
Między obcych idziem w świat:
Szczęsny, kto legł z ręki wroga.”

„Od czci bogów zacząć gody! –
Kalchas rzekł przez woźnych dwóch
Cześć Palladzie, która grody
Dźwiga z prochu, wali w proch!
Neptunowi cześć, co lądy
W oceanu stroi blask;
Cześć Zeusowi! co w swe rządy
Ujął wagi kar i łask.
Uiszczone wielkie cele –
Długi, znojny bojów czas
Piękny koniec wieńczy raz:
Pyszna Troja już w popiele.”

Agamemnon, wódz wyprawy,
Zbiega wzrokiem orszak swój,
Szczątki ludów żądnych sławy,
Które wezwał na ów bój;
I zmartwienie widno w czole,
Tyżeś to, o królu, tyś!
Coś tysiące wywiódł w pole,
Z taką garstką wracasz dziś?
Niech więc szczęsny wykrzykiwa,

Kto rodzinny ujrzy próg:
Bo do śmierci tysiąc dróg,
A kto żyje, niech używa!

„Nie dla wszystkich radość błoga,
Co w rodzinny wrócić dom,
U własnego może proga
Napotkają zbrodnię złą.
I kogo szczydziły miecze,
Tego zdradny zgubi druh”,
Tak Odysa usty rzecze
Proroczy Ateny duch.

Szczęśny, komu Westy znamię
Od zalotnych strzegło dom,
Uchowało statek, srom;
Bo niewiasta wierność kłamie!

Lecz Menelaj znów przy żonie
Cieszy się i w dłoni dłoń
Na rozkosznym, ślicznym łonie
Wolną trosków skłania skroń:
„Wielkie – woła – bogów dziwy,
Zemsta ściga niecny czyn,
Sąd niebianów sprawiedliwy
Mierzy kary wedle win.”
Zwodzić sam w sidła wpadnie,
I nie ujdą kary źli,
Zdradę praw gościny mści
Zeus, co całym światem władnie.

„Komu szczodrzy a łaskawi
Są bogowie podług żądź,
Niechaj bogom błogosławi! –
Wołał młodszy Ajaks drwiąc •–
Patrzcie, kogo wieńce stroją,
Czyich Olimp strzeże głów:
Mężny Patroki legł pod Troją,
Ale Tersyt wraca zdrów!...”
Szczęście ślepy traf rozdziela,
Kto więc dobry dostał los,
Ten niech dzisiaj śpiewa w głos
Dniem radując się wesela.

„Najmężniejszych wojna zmiata;
O, dopokąd słońca stać,
Pamięć bohatera brata
W ziemi greckiej będzie trwać!
On ocalił Greków nawy,
Gdy wróg na nich pożar wszczął,
Lecz nagrodę piękną sławy
Ten, co był chytrzejszy, wziął.”
Pokój ci, mój bracie, w grobie,

Nie pokonał ciebie wróg:
Sam Ajaksa Ajaks zmógł –
Własnym gniewem spłonął w sobie.

Najdzielniejszemu wodzowi
Czas jest, bracia, okrzyk wznieść –
Neoptolem z czarą mówi –
„Sławny ojcze, cześć ci, cześć!
Niż co zmiennem jest i płochem,
Głośną sławę woli mąż;
Co cielesne marnym prochem,
Wielkie imię żyje wciąż.”
 Życ w pamięci będziesz Greków
 Nieśmiertelnych mocą pień;
 Bo gdy życie jest jak cień,
 Zmarli trwają wieki wieków!

„Kiedy żalność usta skleja,
Zwyciężonym okrzyk wznieść!
Pijmy – wołał syn Tydeja –
Za Hektora: cześć mu, cześć!
Kto za kraj swój mężnie stawa
I polegnie jako on:
Bracia, większa nasza sława,
Lecz piękniejszy jego zgon!”
 Kto za kraj swój mężnie stawa
 I przeleje świętą krew,
 W uściech wroga brzmi mu śpiew;
 Wieki przetrwa jego sława!

Teraz w kolej Nestor stary,
Trzech pokoleń zmarłych brat,
Z uwieńczonej kwieciem czary
Do Hekuby przypił rad:
„Nie płacz, matko, losów zmiany,
Strać minionych pamięć chwil,
Na bolące serca rany
Bachusowy balsam chyl.”
 Dar to boski, pożądany
 Śród goryczy ziemskich chwil:
 A więc pełną czarę schyl
 Na bolące serca rany.

Wtem Kasandra, której święty
Zapał przerwał dumań bieg,
Błyska wzrokiem na okręty,
Na dymiący blisko brzeg:
„Dym jest dzieło śmiertelnika!
Jak ten tuman wkoło nas
Ziemska wielkość marnie znika,
Bo nie nasze świat i czas!”

Morzem, lądem człek się miota,
Troska za nim leci w ślad;
Nikt z nas nie wie jutra zrad,
Więc użyjmy dziś żywota!

1803

Przełożył
Bohdan Zaleski